

OSCAR WILDE

PORTRET

DORIANA

GRAYA

Oscar Wilde

Portret Doriana Graya

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843098

Portret Doriana Graya:

Аннотация

Jedyna powieść Oscara Wilde'a, zaliczana do klasyki powieści gotyckich. Mimo wstępnego ocenzenia przez redakcję magazynu literackiego, w którym się ukazała, wywołała oburzenie i ściągnęła na autora oskarżenia o obrazę moralności publicznej. Rok później Wilde opublikował znacznie poszerzoną wersję książkową, łagodząc lub usuwając przy tym najbardziej kontrowersyjne fragmenty. Dodatkowo zaopatrzył ją w przedmowę, która sama stała się głośnym manifestem artystycznym w obronie nieograniczonej swobody twórczej oraz koncepcji sztuki dla sztuki. Dorian Gray jest nieśmiałym, choć niezwykle przystojnym młodym dżentelmenem. Kiedy pozuje swemu przyjacielowi Bazylemu, spotyka jego znajomego, lorda Henryka. Ten przekonuje młodzieńca, że najważniejsze to korzystać z życia, póki jest się pięknym i młodym. Dorian, przyglądając się swemu portretowi, oznajmia pochopnie, że oddałby swoją duszę, by zachować młodość i urodę, żeby to twarz na obrazie starzała się i szpetniała zamiast niego.

Содержание

Przedmowa	4
Rozdział I	7
Rozdział II	26
Rozdział III	49
Rozdział IV	69
Конец ознакомительного фрагмента.	89

Oscar Wilde

Portret Doriana Graya

Przedmowa

Artysta jest twórcą rzeczywistego piękna.

Celem jego jest utaić siebie, objawiając sztukę.

Kto własne wrażenia z dzieła sztuki umie wyrazić w odrębny sposób albo przekształcić na nowy środek artystycznego wzruszenia, ten jest krytykiem.

Najwyższą i zarazem najniższą formą krytyki jest autobiografia.

Trzeba być zepsutym i bez wdzięku, aby w pięknie dopatrywać się myśli brzydkich. Jest to grzech.

Człowiek kulturalny w rzeczach pięknych widzi myśli piękne. Przyszłość jest jego.

Tylko ci są wybrani, dla kogo w rzeczach pięknych nic nie ma poza Pięknem.

Książka nie może być moralna lub niemoralna. Jest tylko dobrze albo źle napisana. Nic więcej.

Niechęć wieku dziewiętnastego do Realizmu jest wściekłością Kalibana¹ oglądającego w zwierciadle własną

¹ *Kaliban* – postać z *Burzy* Szekspira, dziki, zdeformowany syn wiedźmy. [przypis edytorski]

twarz.

Niechęć wieku dziewiętnastego do Romantyzmu jest wściekłością Kalibana, gdy w zwierciadle nie widzi własnej twarzy.

Życie moralne człowieka stanowi dla artysty część podmiotowego materiału twórczego, lecz moralność sztuki polega na doskonałym użyciu niedoskonałego środka.

Artysta nie stara się niczego udowadniać. Każda rzecz prawdziwa może być dowiedziona.

Żaden artysta nie kieruje się upodobaniami etycznymi. Upodobania etyczne u artysty są niewybaczalnym zniekształceniem stylu.

Żaden artysta nigdy nie jest chorobliwy. Artysta ma prawo wyrażać wszystko.

Myśl i język są dla artysty narzędziami sztuki.

Występek i cnota są dla artysty tworzywem sztuki.

Ze stanowiska formy wzorem wszystkich sztuk jest muzyka.
Ze stanowiska wrażenia wzorem jest sztuka aktorska.

Wszelka sztuka jest zarazem kształtem i symbolem.

Na własną odpowiedzialność wnika się poza kształt.

Na własną odpowiedzialność odczytuje się symbol.

Sztuka odzwierciedla widza, a nie życie.

Różnorodność zdań o dziele sztuki świadczy, że jest nowe, złożone i żywotne.

Jeżeli krytycy spierają się o artystę, to znaczy, że jest on ze sobą w zgodzie.

Możemy przebaczyć człowiekowi dzieło użyteczne, dopóki nie zachwyca się nim. Jedynym usprawiedliwieniem dzieł nieużytecznych jest wywołana nimi potęga zachwyty.

Sztuka jest bezużyteczna.

Oscar Wilde

Rozdział I

Pracownia była przesycona zapachem róż, skoro zaś wietrzyk letni poruszył drzewami w ogrodzie, przez otwarte drzwi wnikała ocieźała woń bzu lub wątlej pachniał głóg.

W rogu perskiej sofy wyciągnął się wygodnie lord Henryk Wotton, paląc swym zwyczajem papierosa po papierosie. Mógł stamtąd patrzeć na słodkie jak miód, miodowej barwy kiście wielokwiatu, którego drżące gałązki z trudem zdawały się dźwigać ciężar tak płomiennego piękna. Od czasu do czasu po zawieszonych nad wielkim oknem jedwabnych firankach przesuwały się fantastyczne cienie przelatujących ptaków, wywołując na chwilę wrażenie japońskiego obrazu. Przypominało mu to owych malarzy tokijskich, o twarzach bladych i znużonych, którzy w sztuce z konieczności nieruchomej starali się oddać wrażenie szybkości i ruchu. Jednostajne brzęczenie pszczół, poszukujących drogi wśród źdźbeł wysokiej, nieprzyciętej trawy lub wytrwale kręcących się dokoła złocistych pyłków powoju, dotkliwie potęgowało panującą ciszę. Stłumiony pogwar Londynu wydawał się niby grzmiący ton dalekich organów.

Na pionowo ustawionych w środku pokoju sztalugach był umieszczony naturalnej wielkości portret młodego mężczyzny wyjątkowej urody. W niewielkiej odległości przed portretem siedział jego malarz, Bazyli Hallward, którego nagłe zniknięcie

przed paru laty wywołało dużą wrzawę i dało sposobność do najrozmaitszych plotek.

W chwili gdy artysta przyglądał się wdzięcznej i czarującej twarzy, tak subtelnie odtworzonej w dziele sztuki, na jego obliczu ukazał się uśmiech zadowolenia i wydawało się, że będzie trwał dłużej. Nagle malarz zadrżał, przymknął oczy, powieki przycisnął palcami, jakby chciał zatrzymać w swym mózgu dziwne marzenie, obawiając się, iż mógłby je postradać.

– To twoje najlepsze dzieło, Bazyli, najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłeś – odezwał się lord Henryk znużonym głosem. – Na przyszły rok musisz posłać je na wystawę w Grosvenor². Akademia³ jest za wielka i za pospolita. Ile razy tam pójde, zastaję tylu ludzi, że nie mogę oglądać obrazów, co jest okropne, lub tyle obrazów, że nie widzę ludzi, co jeszcze bardziej odstrasza. Grosvenor jest istotnie jedyną wystawą.

– Wątpię, abym miał je gdziekolwiek wystawiać – odrzekł malarz, odrzucając w tył głowę tym swoim zwykłym ruchem, który był przedmiotem drwin kolegów w Oxfordzie. – Nie, nie dam go nigdzie.

Lord Henryk podniósł oczy, ze zdziwieniem nań spoglądając poprzez błękitne kłęby dymu, unoszące się w fantastycznych zwojach z ciężkiego, opiumowanego papierosa.

² *Grosvenor* – galeria sztuki w Londynie, założona w 1877; odgrywała ważną rolę dla artystów nowego pokolenia, których prace nie odpowiadały oczekiwaniom konserwatywnej Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych. [przypis edytorski]

³ *Akademia* – tu: Królewska Akademia Sztuk Pięknych (*Royal Academy of Arts*). [przypis edytorski]

– Nie pošlesz nigdzie? Dlaczegoż, mój drogi? Z jakiego powodu? Co za okazy z was, malarze! Robicie wszystko, aby zdobyć sławę, a skoro ją macie, zawadza wam. To niemądrze, bo gorsze od tego, że o was mówią, jest to, że o was nie mówią. Tym portretem możesz się wybić ponad wszystkich młodych malarzy, a starych przyprawić o zazdrość, jeżeli w ogóle zdolni są odczuwać cokolwiek.

– Wiem, że będziesz drwił ze mnie – odrzekł – ale ja go naprawdę nie mogę wystawić. Za wiele włożyłem weń samego siebie.

Lord Henryk, wyciągając się na sofie, roześmiał się.

– Za dużo siebie! Słowo daję, Bazyli, że nie podejrzewałem cię o tyle próżności; w istocie nie widzę żadnego podobieństwa między tobą, o rysach twarzy ostrych i surowych, o czuprynie czarnej jak węgiel, a tym młodzieńczym Adonisem⁴, wyglądającym jakby był zrobiony z kości słoniowej i z płatków róży. Ależ, drogi Bazyli, to jest Narcyz⁵, a ty – z twojej twarzy bije inteligencja i tak dalej, lecz piękno, prawdziwe piękno kończy się tam, gdzie zaczyna się wyraz myśli. Rozum jest sam w sobie pewnego rodzaju przesadą, psującą harmonię każdego oblicza. Gdy człowiek zabiera się do myślenia, zamienia się cały w nos, czoło lub w coś równie okropnego. Popatrz na

⁴ *Adonis* (mit. gr.) – piękny młodzieniec, ulubieniec bogini Afrodyty. [przypis edytorski]

⁵ *Narcyz* (mit. gr.) – urodziwy młodzieniec, który wzgardził uczuciem nimfy Echo, za co bogini Afrodyta wzbudziła w nim miłość do jego własnego obrazu odbitego w wodzie. [przypis edytorski]

ludzi cieszących się powodzeniem w jakimkolwiek uczonym zawodzie. Jak są doskonale brzydcy! Oczywiście, z wyjątkiem Kościoła. Ale ci z Kościoła nie myślą wcale. Każdy biskup w osiemdziesiątym roku życia powtarza to, czego nauczono go w osiemnastym, i tylko dlatego wygląda zawsze czarująco. Twój tajemniczy młody przyjaciel, którego nazwiska nie wymieniałeś mi wprawdzie, ale którego portretem się zachwycam, nigdy nie myślał. Jestem tego pewny. Jakaś czarująco bezmyślna istota, mogąca w zimie zastąpić brak kwiatów, a w lecie orzeźwiać nasz umysł. Nie pochlebiaj sobie, Bazyli, wcale nie jesteś do niego podobny.

– Nie zrozumiałeś mnie, Henryku – odparł artysta. – Sam to wiem najlepiej, że nie jestem do niego podobny. Nie chciałbym zresztą być nim. Wzruszasz ramionami? Mówię prawdę. Na wszelkim wyróżnieniu fizycznym lub umysłowym ciąży jakiś fatalizm, który w dziejach idzie śladem chwiejnego kroku królów. Dobrze jest nie różnić się wcale od współczesnych. Dlatego brzydcy i głupi są na świecie uprzywilejowani. Mogą żyć wedle woli albo przyglądać się zabawie. Jeśli nic nie wiedzą o zwycięstwach, zaoszczędzono im też wrażenia klęski. Żyją tak, jak pragnęlibyśmy żyć wszyscy: cicho, obojętnie i spokojnie. Nie przeszkadzają nikomu i nikt im nie przeszkadza. Ale ty, Henryku, z twoim tytułem i majątkiem, ja ze swoim umysłem, jaki by on nie był, i ze swoją sztuką, choćby najbardziej niedoskonałą, Dorian Gray ze swoją urodą, musimy cierpieć za udzielone nam dary bogów.

– Dorian Gray? Więc tak się nazywa? – zapytał lord Henryk, zbliżając się do Bazylego Hallwarda.

– Tak, to jego nazwisko. Nie chciałem ci go powiedzieć.

– Dlaczego?

– Ach, nie umiałbym tego wytłumaczyć. Kiedy kogoś bardzo kocham, nikomu nie wymieniam jego imienia. Wydaje mi się to zdradą względem niego. Nauczyłem się kochać tajemnicę. Jest to jedyne, co nasze nowoczesne życie czyni niezwykłym i cudownym. Najpospolitsza sprawa ludzka staje się wytworna, skoro ktoś ją przed nami ukryje. Gdy wyjeżdżam z miasta, nikomu nie mówię, dokąd jadę. Jeżeli powiem, tracę całą przyjemność. Może to niemądre, przyznaję, ale w ten sposób przywracam memu życiu romantyczność. Obawiam się, że weźmiesz mnie za kiepskiego wariata.

– Bynajmniej – odparł lord Henryk – bynajmniej, mój drogi Bazyli. Wydajesz się zapominać, że jestem żonaty i że jedynym urokiem małżeństwa jest wzajemne łudzenie się, niezbędnie konieczne dla obu stron. Ja nigdy nie wiem, gdzie przebywa moja żona, i ona nie wie, gdzie ja się udaję. Gdy się spotkamy, a zdarza się to niekiedy, że jesteśmy razem na jakimś obiedzie lub wspólnie wybieramy się do księcia, z najpoważniejszą miną opowiadamy sobie najniedorzeczniejsze historie. Pod tym względem żona przewyższa mnie znakomicie. Nigdy nie zabrnę w datach, gdy ja zawsze mam z nimi kłopot. Zdając sobie z tego sprawę, nie robi mi żadnych wyrzutów. Chciałbym nieraz usłyszeć je od niej, ale jej wystarcza, że wyśmiewa się ze mnie.

– Nie znoszę, gdy w ten sposób wyrażasz się o swym małżeństwie – rzekł Bazyli Hallward, kierując się ku drzwiom wychodzącym na ogród. – Wydaje mi się, że w istocie jesteś bardzo dobrym mężem i tylko wstydzisz się swej cnoty. Dziwny z ciebie człowiek. Nigdy nie powiesz nic moralnego i nigdy nie zrobisz nic złego. Twój cynizm jest zwykłym udawaniem.

– Naturalność jest również udawaniem i to najbardziej drażniącym z tych, jakie znam – zawołał lord Henryk, śmiejąc się.

Wyszli obaj do ogrodu i usiedli na długiej ławce bambusowej, w cieniu krzewu wawrzynowego. Po lśniących liściach ślizgały się promienie słoneczne. Białe stokrocce drżały wśród traw.

Po chwili lord Henryk spojrział na zegarek.

– Muszę już iść, Bazyli – wyszeptał – zanim pójdę, chciałbym jednak usłyszeć odpowiedź na moje niedawne pytanie.

– Co za pytanie? – rzekł malarz, nie podnosząc oczu utkwionych w ziemi.

– Wiesz dobrze.

– Nie wiem, Henryku.

– Więc je powtórzę. Musisz mi wytłumaczyć, dlaczego nie chcesz wystawić portretu Doriana Graya. Chcę znać prawdziwą przyczynę.

– Powiedziałem ci całą prawdę.

– Wcale nie. Wskazałeś, że w portret zbyt wiele włożyłeś samego siebie. Nie, to byłoby dziecinne.

– Henryku – rzekł Bazyli Hallward, patrząc mu prosto w oczy

– każdy portret malowany z przejęciem jest portretem artysty, nie modela. Model to tylko przypadek, okoliczność. Nie jego, ale samego siebie ujawnia malarz na płótnie. Przyczyną, dla której nie chcę wystawić obrazu, jest obawa odsłonięcia tajemnicy mej własnej duszy.

Lord Henryk roześmiał się.

– Jakież to? – zapytał.

– Powiem ci – powiedział Hallward, ale po jego twarzy przeszedł wyraz zmieszania.

– Z ciekawością słucham cię, Bazylu – podjął towarzysz, patrząc na niego.

– Ach, doprawdy niewiele tu do mówienia – odparł malarz – obawiam się, że trudno ci będzie mnie zrozumieć. Może nie uwierzysz nawet.

Lord Henryk uśmiechnął się. Schyliwszy się, zerwał z trawnika różową stokrotkę i zaczął ją oglądać.

– Jestem pewny, że zrozumieć – odparł, uporczywie wpatrując się w drobną, złotawą, pierzastą tarczę kwiatu – i wierzę we wszystko, co jest niewiarygodne.

Wiatr strząsnął z krzewu nieco kwiatów, a ciężkie pęki rozkwitłego bzu bujały się w parnym powietrzu. Gdzieś pod murem ćwierkał konik polny, a długa, cienka wałka o skrzydełkach z brązowej gazy mignęła w powietrzu niebieską nitką. Lord Henryk miał wrażenie, że słyszy bicie serca Bazylego Hallwarda, i zdumiony, czekał na ciąg dalszy.

– Historia jest zupełnie prosta – rzekł malarz po pewnym

czasie. – Przed dwoma miesiącami byłem na przyjęciu u lady Brandon. Wiesz, że i my, biedni artyści, musimy niekiedy pokazać się w świecie, ażeby nie miano nas za dzikusów. Powiedziałeś raz, że we fraku i w białym krawacie nawet makler giełdowy może zdobyć opinię człowieka cywilizowanego. Zaledwie dziesięć minut przebywałem w tym salonie, rozmawiając z przesadnie wystrojonymi damami i nudnymi akademikami, gdy nagle uczułem, że ktoś na mnie patrzy. Odwróciłem się nieco i po raz pierwszy zobaczyłem Doriana Graya. Gdy spotkaliśmy się wzrokiem, poczułem, że błędę. Ogarnęło mnie dziwne przerażenie. Zrozumiałem, że stanąłem wobec człowieka, którego sama osobowość jest tak ujmująca, iż skoro poddałbym się jej, wchłonięłaby całą moją istotę, całą moją duszę, całą moją sztukę. W moim życiu staram się unikać wpływów zewnętrznych. Wiesz, Henryku, jak zawsze byłem niezależny. Byłem panem samego siebie, panowałem nad sobą, dopóki nie spotkałem Doriana Graya. Wtedy... ale nie wiem, jak ci to wytłumaczyć. Poczułem, że stanąłem wobec strasznego przełomu w moim życiu. Miałem dziwne przeświadczenie, że los przynosi mi wyjątkowe radości i wyjątkowe cierpienia. Przerażony, odwróciłem się, aby opuścić salon. Wyganiało mnie nie sumienie, lecz osobliwego rodzaju tchórzostwo. Nie będę upiększał, że po prostu chciałem uciec.

– Mój Bazyli, sumienie i tchórzliwość są w istocie tym samym. Sumienie jest nazwą firmy. Oto wszystko.

– Nie wierzę w to, Henryku, i nie wierzę, żebyś ty tak

wierzył. Jakikolwiek był jednak powód – może była nim duma, bo istotnie jestem bardzo dumny – dość że kierowałem się ku drzwiom. Na drodze natknąłem się na lady Brandon. „Chyba pan nie odejdzie tak wcześnie, panie Hallward?”, wykrzyknęła. Znasz jej szczególnie ostry dźwięk głosu?

– Tak, we wszystkim, prócz piękności, jest ona pawiem – powiedział lord Henryk, oskubując stokrotkę swymi długimi, nerwowymi palcami.

– Nie mogłem się jej wykręcić. Zaprowadziła mnie do królewskich wysokości i ludzi w orderach i gwiazdach, do starszych dam w olbrzymich tiarach i o papuzich nosach. Mówiła o mnie jako o najlepszym z przyjaciół. Przedtem widziałem ją raz w życiu, zawzięła się jednak, aby zrobić mnie lwem towarzystwa. Zdaje się, że właśnie któryś z moich obrazów cieszył się dużym powodzeniem, przynajmniej pisano o nim w prasie dwugroszowej, co w wieku dziewiętnastym jest sztandarem nieśmiertelności. Nagle znalazłem się oko w oko z młodym mężczyzną, którego postać tak dziwnie mnie zajęła. Staliśmy koło siebie i niemal dotykaliśmy się. Znowu spotkaliśmy się wzrokiem. Wbrew woli poprosiłem lady Brandon, ażeby mnie jemu przedstawiła. Nie było to może nawet nierozważne, bo nieuniknione. Bylibyśmy mówili ze sobą nawet nieprzedstawieni. Jestem tego pewny. Dorian Gray powiedział mi później to samo; również czuł konieczność poznania się ze mną.

– Jakże lady Brandon określiła owego cudownego

młodzieńca? – spytał towarzysz. – Wiem, że o wszystkich swych gościach zwykła jest urabiać zwężłe powiedzenia. Przypominam sobie, jak przedstawiając mnie pewnemu jegomościowi, dosłownie pokrytemu orderami i wstęgami, tragicznym szeptem, który wszyscy w pokoju doskonale słyszeli, trąbiła mi w ucho najdziwaczniejsze o nim szczegóły. Po prostu uciekłem. Lubię mieć własny sąd o ludziach. Ale lady Brandon postępuje ze swymi gośćmi jak akcjonariusz ze swym towarem. Albo zupełnie ich pomija, albo opowiada o nich wszystko prócz tego, co byłoby naprawdę ciekawe.

– Biedna lady Brandon! Ostro ją sądzisz, Henryku! – rzekł Hallward niedbale.

– Mój drogi, chciała mieć salon, a udało się jej otworzyć tylko restaurację. Za cóż miałbym się nią zachwycać? Powiedz mi jednak, co powiedziała o panu Dorianie Grayu?

– Ach, coś w tym rodzaju: „Śliczny chłopiec, jego biedna matka była moją nierozłączną przyjaciółką. Zupełnie zapomniałam, czym on się zajmuje, chyba niczym... ach, tak, grą na fortepianie, jeżeli nie na skrzypcach, kochany panie Gray?”. Nie mogliśmy powstrzymać się od śmiechu i od razu zostaliśmy przyjaciółmi.

– Śmiech to wcale niezły początek przyjaźni i najczęściej bywa też najlepszym jej zakończeniem – rzekł młody lord, zrywając znowu stokrotkę.

Hallward wstrząsnął głową.

– Ty nie rozumiesz, Henryku – wyszeptał – co to jest przyjaźń

albo nieprzyjaźń. Ty lubisz wszystkich, lub, jeśli wolisz, dla każdego jesteś obojętny.

– Jakże okropnie niesprawiedliwy jesteś! – zawołał lord Henryk, zsuwając kapelusz na tył głowy i patrząc w górę na obłoki, płynące po głęboko turkusowym błękitnie letniego nieba niby lśniące płatki białego jedwabiu. – Tak, okropnie niesprawiedliwy. Robię między ludźmi wielkie różnice. Przyjaciół wybieram sobie dla ich dobrego wyglądu, znajomych dla ich dobrego charakteru, a nieprzyjaciół dla ich bystrego umysłu. Człowiek nigdy nie może być dość oględny przy wyborze swych wrogów. Nie mam ani jednego, który by był głupcem. Owszem, są to wszystko ludzie o wybitnie mocnej inteligencji, więc też umięją ocenić mnie. Czy świadczy to o mej próżności? Zdaje się, że jestem próżny.

– Myślę, że tak jest naprawdę. Ale stosując się do twojej metody doboru, winienem uważać się tylko za zwykłego znajomego.

– Mój drogi, stary Bazyli, jesteś dla mnie więcej niż znajomym.

– A mniej niż przyjacielem, czymś, jak mniemam, w rodzaju brata?

– Ach, bracia! Za nic mam braci. Mój starszy brat nie myśli umierać, a młodszy, zdaje się, nie robią nic innego.

– Henryku! – wykrzyknął Hallward, marszcząc brwi.

– Mój drogi towarzyszu, nie mówię tego zupełnie poważnie. Ale nie mogę się powstrzymać od nienawiści do mych

krewnych. Pochodzi to zapewne stąd, że nikt z nas nie znosi widoku osób mających te same wady. Razem z demokracją angielską podzielam nienawiść do tego wszystkiego, co nazywają występkami wyższych sfer. Tłum rozumie doskonale, że pijaństwo, głupota i rozpusta są jego własnością, więc jeśli ktoś z nas, robiąc z siebie osła, przywłaszcza sobie jedną z tych przywar, wygląda jak kłusownik polujący na cudzym polu. Gdy ów biedny Southwark stanął przed sądem rozwodowym, wspaniałe było oburzenie tłumu. Jestem zaś przeświadczony, że dziesięć procent proletariatu nie prowadzi się należycie.

– Nie zgadzam się z tobą nawet w jednym słowie, Henryku, czuję przy tym na pewno, że ty się nie zgadzasz z tym, co mówisz.

Lord Henryk gładził swą ciemną, długą, spiczasto przystrzyżoną brodę i hebanową laską uderzał w swój but z wyborowej skóry.

– Jaki z ciebie Anglik, Bazyli! Po raz wtóry już robisz mi tę uwagę. Jeżeli ktoś prawdziwemu Anglikowi powie swoją myśl, co zawsze jest rzeczą bardzo śmiałą, on nigdy nie patrzy na to, czy sama przez się jest dobra albo zła. Obchodzi go bardziej to, w co ktoś wierzy albo nie wierzy. Tymczasem wartość myśli jest zupełnie niezależna od wygłaszającego ją człowieka. Jest całkiem prawdopodobne, że wartość myśli jest tym większa, im człowiek jest mniej szczery, tym bardziej bowiem będzie zabarwiona jego potrzebami, pragnieniami lub przesadami. Nie chcę jednak rozprawiać z tobą o polityce, socjologii lub metafizyce. Bardziej niż zasady podobają mi się ludzie, a ludzie

bez zasad bardziej od wszystkich innych. Opowiedz mi lepiej coś o panu Dorianie Grayu. Czy często go widzisz?

– Codziennie. Inaczej nie czułbym się szczęśliwy. Jest mi niezbędnie potrzebny.

– To nadzwyczajne! Myślałem, że poza sztuką nic cię już nie będzie obchodzić.

– On jest teraz całą moją sztuką – odparł malarz poważnie. – Przychodzi mi niekiedy na myśl, że w dziejach świata są tylko dwie epoki o pewnej doniosłości. Pierwszą jest zdobycie dla sztuki nowego środka, drugą zjawienie się nowej osobistości twórczej. Tym, czym dla Wenecjan był wynalazek malarstwa olejnego, czym oblicze Antinousa⁶ dla dawnej sztuki greckiej, tym stanie się kiedyś dla mnie Dorian Gray. Nie tylko dlatego, że maluję według niego, według niego rysuję i szkicuję, bo robiłem to już przedtem, ale poza tym jest on dla mnie czymś więcej niż modelem lub wzorem. Nie mówię, żebym nie był zadowolony z tego, com z niego utworzył, albo że jego piękna nie można oddać w sztuce. Na świecie nie ma nic, czego by nie można wyrazić w sztuce, i wiem dobrze, że dzieło, które namalowałem po spotkaniu z Dorianem Grayem, jest pięknym, najlepszym dziełem mego życia. Ale jakimś dziwnym, niepojętym sposobem – będę zdumiony, jeśli zdołasz mnie zrozumieć – jego osobowość natchnęła mnie zupełnie nowym

⁶ *Antinous* (111–130) – grecki młodzieniec, oficjalny kochanek cesarza Hadriana; kiedy utonął w Nilu, na rozkaz Hadriana powstało wiele rzeźb i portretów przedstawiających Antinousa jako ideał młodzieńczej piękności. [przypis edytorski]

rodzajem sztuki, zupełnie nowym stylem. Odmienne widzę rzeczy, odmiennie o nich myślę. Mogę teraz tworzyć na drodze poprzednio przede mną zamkniętej. „Kształt wymarzony w godzinach myśli”, kto to powiedział, nie pamiętam, lecz tym właśnie stał się dla mnie Dorian Gray. Jedyne widoma obecność tego młodzianka, gdyż jest on dla mnie młodziankiem, choć ma lat przeszło dwadzieścia, jedynie widoma jego obecność! Ach, zdumiewałoby mnie, jeśli byś uświadamiał sobie, co to wszystko znaczy. Bezwiednie odsłonił on przede mną linie świeżej szkoły, szkoły łączącej namiętność ducha romantyzmu z doskonałością ducha greckiego. Harmonia duszy i ciała – jakże wiele! W naszym zaślepieniu oddzieliliśmy oboje, aby wynaleźć prostacki realizm i pusty idealizm. Henryku! Gdybyś tylko wiedział, czym jest dla mnie Dorian Gray! Pamiętasz mój krajobraz, za który Agnew dawał mi tak wysoką cenę, ale z którym nie chciałem się rozstać? To jeden z mych najlepszych obrazów, a dlaczego? Bo gdy go malowałem, Dorian Gray siedział przy mnie. W jego obecności działał na mnie jakiś subtelny wpływ i po raz pierwszy w życiu w zwykłym krajobrazie leśnym uchwyciłem ten czar, którego poszukiwałem od dawna i zawsze na próżno.

– To nadzwyczajne, Bazyli! Muszę zobaczyć Doriana Graya.

Hallward powstał z ławki i począł chodzić po ogrodzie. Po chwili wrócił.

– Henryku – powiedział – Dorian Gray jest tylko dla mnie wątkiem artystycznym. Ty nie dojrzysz w nim nic, ja widzę w nim wszystko. W moim dziele nigdy nie jest bardziej obecny

niż wtedy, kiedy jego obrazu tam nie ma. Jak powiedziałem, jest on natchnieniem nowego stylu. Odnajduję go w załamaniach niektórych linii, we wdzięku i subtelności niektórych barw. Oto wszystko.

– Dlaczegoż więc nie chcesz wystawić jego portretu? – zapytał lord Henryk.

– Gdyż mimo woli włożyłem weń wyraz tego całego ubóstwienia artystycznego, o jakim zresztą Dorianowi nigdy nie wspomniałem. On o tym nic nie wie. Nigdy nie będzie wiedział. Ale ludzie mogliby odgadnąć, a przed przyziemnymi spojrzeniami ciekawych nie chcę odsłaniać swej duszy. Serca mego nigdy nie oddam pod ich mikroskop. W obrazie tym, Henryku, jest za wiele mnie samego, za wiele!

– Poeci nie mają tylu zastrzeżeń, gdyż wiedzą, ile namiętność artysty sprzyja rozpowszechnieniu jego dzieł. W dzisiejszych czasach złamane serce osiąga wiele wydań.

– Nienawidzę ich za to – zawołał Hallward. – Artysta winien tworzyć dzieła piękne, ale w nie nie wkładać nic z własnego życia. Żyjemy w wieku, w którym uważa się sztukę tylko za rodzaj autobiografii. Zatraciliśmy zmysł piękna abstrakcyjnego. Pewnego dnia ukazę światu, czym ono jest, i dlatego świat nigdy nie zobaczy mego portretu Doriana Graya.

– Zdaje mi się, Bazyli, że nie masz racji, ale nie będę się z tobą sprzeczał. Tylko umysłowi bankruci prowadzą spory. Powiedz mi, czy Dorian Gray kocha cię bardzo?

Malarz namyślał się przez chwilę.

– Lubi mnie – odparł po przerwie – wiem, że mnie lubi. Zresztą bardzo mu schlebiam. Uczuвам dziwną przyjemność, mówiąc mu rzeczy, których mówić mu nie powinienem. Zazwyczaj jest dla mnie bardzo miły, całe dnie spędzamy w pracowni na rozmowach o tysiącnych rzeczach. Niekiedy bywa mocno roztargniony, i zdaje się, że sprawia mu wówczas przyjemność, jeśli mi czymś dokuczy. Wówczas czuję, Henryku, że całą swą duszę oddałem człowiekowi obchodzącym się z nią jak z kwiatem do butonierki, ze schlebającym jego próżności skrawkiem odznaki lub jak z ozdobą na jeden dzień letni.

– Letnie dnie, Bazyli, są długie – szepnął lord Henryk.
– Może prędzej sprzykrzy się on tobie, niż ty jemu. Jest to smutne, ale geniusz bez wątpienia trwa dłużej niż piękno. Tłumaczy to, czemu zadajemy sobie tyle trudu, aby zdobyć sobie wyższą kulturę. W dzikiej walce o byt potrzeba nam czegoś, co trwa, i dlatego w karlej nadziei zachowania światowego stanowiska zawałamy nasz umysł rumowiskiem faktów. Ideałem nowoczesnym jest człowiek wykształcony wszechstronnie. Umysł takiego człowieka jest czymś przerażającym, wygląda niczym tandetny stragan, pełen dziwactw i kurzu, gdzie wszystko ocenia się powyżej wartości. Sądę, że właśnie ciebie znudzi on pierwej. Pewnego dnia spojrzysz na swego przyjaciela, aby dostrzec, że jest przerysowany albo przejaskrawiony w kolorze, lub coś podobnego. W duszy będziesz wymawiał mu to z goryczą, z tym przeświadczeniem, że wyrządził ci krzywdę. Gdy opanujesz się znowu, będziesz dlań zimny i obojętny. Będzie

to smutne, gdyż zmieni ciebie. Opowiadałeś mi cały romans, nazwałbym go romansem sztuki, a najgorszą stroną każdego romansu jest to, że robi ludzi tak bardzo nieromantycznymi.

– Nie mów tak, Henryku. Póki będę żył, będę pod wpływem osoby Doriana Graya. Nie możesz czuć tego, co ja. Jesteś zbyt zmienny.

– Ach, mój drogi Bazyli, właśnie dlatego odczuć to mogę tak dobrze. Wierni znają tylko powszednią stronę miłości, niewierni znają jej tragedie.

Lord Henryk, potarłszy zapalnik o misterne srebrne pudełko, zapalił papierosa z wyrazem tak pewnym i zadowolonym, jak gdyby jednym zdaniem udało mu się określić cały świat.

Na ciemną zielen bluszczu opadła wrzaskliwa ciżba wróbli, a błękitne cienie obłoków przemykały się po trawniku jak jaskółki. Pięknie było w tym ogrodzie! Wrażenia innych ludzi wydawały się lordowi czarujące, bardziej czarujące od ich myśli. Godne uwagi w życiu były dlań własna dusza i uczucia jego przyjaciół. Z cichym zadowoleniem wyobrażał sobie nudne śniadanie, które opuścił z powodu tak długiej bytności u Bazylego Hallwarda. Gdyby był poszedł⁷ do ciotki, na pewno spotkałby u niej lorda Goodberry, rozmowa toczyłaby się około wspomagania ubogich i konieczności zakładania wzorowych przytułków. Słyszałby, jak ludzie głoszą ważność cnót, do

⁷ *Gdyby był poszedł* – przykład użycia czasu zaprzeczonego, wyrażającego czynność wcześniejszą niż opisana czasem przeszłym lub, jak w tym przypadku, niezrealizowaną możliwość. [przypis edytorski]

których uprawiania nie mieli w swym życiu sposobności. Bogaci mówiliby o znaczeniu oszczędności, wymowni próżniacy o dostojęństwie pracy. Cudownie, że ominął to wszystko! Wspomnienie ciotki nasunęło mu pewną myśl. Zwrócił się do Hallwarda, mówiąc:

- Mój drogi towarzyszu, teraz sobie przypominam.
- Co przypominasz sobie, Henryku?
- Przypominam sobie, gdzie usłyszałem nazwisko Doriana Graya.

- Gdzież to? – spytał Hallward, lekko marszcząc brwi.
- Nie patrz tak srogo, Bazyli. Było to u mej ciotki, lady Agaty. Opowiadała mi, że poznała uroczego młodego mężczyznę, który będzie jej pomagał w East End⁸ i nazywa się Dorian Gray. Mogę cię upewnić, że nic nie wspominała o jego urodzie. Kobiety, przynajmniej kobiety dobre, nie znają się na urodzie. Mówiła, że jest bardzo poważny i ma piękny charakter. Wyobraziłem go sobie jako chuderlawego osobnika w okularach, o rzadkich włosach, bardzo piegowatego i z dużymi nogami. Szkoda, iż nie wiedziałem, że to jest twój przyjaciel.

- Rad jestem, Henryku, żeś o tym nie wiedział.
- Dlaczego?
- Nie chcę, abyś się z nim spotykał.
- Nie chcesz, żebym spotykał się z nim?
- Nie.

⁸ *East End* – uboższe dzielnice Londynu położone we wschodniej części miasta.
[przypis edytorski]

– Proszę pana, pan Dorian Gray jest w pracowni – oznajmił służący, wchodząc do ogrodu.

– Teraz będziesz musiał mi go przedstawić – zawołał lord Henryk, śmiejąc się.

Malarz zwrócił się do służącego, który stojąc w słońcu, mrużył oczy:

– Poproś, Parkerze, pana Graya, aby zaczekał na mnie. Przyjdę tam za chwilę.

Służący, skłoniwszy się, odszedł.

Hallward spojrzał na lorda Henryka.

– Dorian Gray jest mym najdroższym przyjacielem – powiedział. – To natura prosta i piękna. Ciotka twoja określiła go zupełnie trafnie. Nie psuj go. Nie staraj się wpływać na niego. Twój wpływ byłby dlań zgubny. Świat jest wielki i nie brak ludzi ciekawych. Nie zabieraj mi jedyne go człowieka nadającego mej sztuce cały jej czar; me życie jako artysty zależy od niego. Pamiętaj, Henryku, że polegam na tobie.

Mówił bardzo powoli i zdawało się, że słowa wymykały mu się z ust wbrew jego woli.

– Co za głupstwa pleciesz! – z uśmiechem rzekł lord Henryk i biorąc Hallwarda pod rękę, niejako siłą wprowadził go do domu.

Rozdział II

Wchodząc, spostrzegli Doriana Graya, siedzącego tyłem do nich za pianinem i przewracającego karty *Scen leśnych*⁹ Schumanna.

– Musisz mi to pożyczyć, Bazyli – zawołał. – Muszę się tego nauczyć. Jest wprost czarujące.

– To zależy od tego, jak mi będziesz dziś pozował, Dorianie.

– Ach, dość już mam pozowania i nie zależy mi na portrecie wielkości naturalnej – odparł młodzieniec z przekorą, kręcąc się na taborecie. Na widok lorda Henryka przelotnie zarumienił się i zerwał. – Przepraszam cię, Bazyli, ale nie wiedziałem, że nie jesteś sam.

– Oto, Dorianie, lord Henryk Wotton, stary mój przyjaciel z Oxfordu. Opowiadałem mu właśnie, jaki doskonały z ciebie model, a ty wszystko popsuleś.

– Nie popsuł mi pan przyjemności poznania pana, panie Gray – powiedział lord Henryk, przystępując doń i podając mu rękę. – Ciotka moja często opowiadała mi o panu. Jest pan jednym z jej ulubieńców i, obawiam się, że również jedną z jej ofiar.

– Obecnie lady Agata patrzy na mnie krzywo – odparł Dorian z zabawnym wyrazem skruchy. – Przyrzekłem w zeszły wtorek

⁹ *Sceny leśne* (niem.: *Waldszenen*) – cykl miniatur muzycznych na fortepian, skomponowany w l. 1848–49 przez niem. kompozytora i pianistę Roberta Schumanna. [przypis edytorski]

towarzyszyć jej do jakiegoś klubu w Whitechapel i zapomniałem o tym zupełnie. Mieliśmy tam grać razem duet, czy raczej trzy duety. Nie mam wprost odwagi pójść teraz do niej.

– Ach, pogodzę pana z moją ciotką. Jest dla pana bardzo życzliwa i nie sądzę, aby to zapomnienie panu zaszkodziło. Słuchacze i tak zapewne myśleli, że był to duet, gdyż ciotka Agata sama jedna wali w fortepian za dwoje.

– Jest to złośliwe w stosunku do niej, a i dla mnie niezbyt pochlebne – odparł Dorian, śmiejąc się.

Lord Henryk patrzył na niego. Tak, w istocie był cudownie piękny ze swymi cienko zarysowanymi purpurowymi ustami, z pogodnymi, błękitnymi oczami, z falistymi, złotymi włosami. Twarz jego od razu wzbudzała zaufanie. Malowała się na niej szczerłość młodości i niepokalana czystość. Czuć było, że świat go jeszcze nie zepsuł. Nic dziwnego, że Bazyli Hallward uwielbiał go.

– Ma pan naprawdę zbyt wiele wdzięku, aby robić filantropię, panie Gray, zbyt wiele wdzięku.

I lord Henryk spoczął na kanapie, otwierając papierośnicę.

Malarz zajęty był tymczasem mieszaniem farb i porządkowaniem pędzli. Wyglądał, jakby był niezadowolony, a po ostatniej uwadze lorda Henryka, spojrzał na niego i po chwili wahania rzekł:

– Henryku, chciałbym dziś skończyć obraz. Czy bardzo będziesz się gniewał, jeżeli poproszę cię, abyś sobie poszedł?

Lord Henryk uśmiechnął się i spojrzał na Doriana Graya.

– Czy mam odejść? – zapytał.

– Och nie, proszę pana, lordzie Henryku. Widzę, że Bazyli jest znowu w złym humorze. Nie znoszę go, kiedy marudzi. Przede wszystkim, chciałbym zapytać pana, dlaczego nie powinienem zajmować się filantropią.

– Nie sędzę, panie Gray, abym miał tak panu powiedzieć. Jest to nudny przedmiot, o którym należałoby mówić poważnie. Ale chyba nie odejdę, skoro pan mnie zaprasza, abym pozostał. Jest to ci chyba wszystko jedno, Bazyli? Nieraz wspominałeś mi, że lubisz, gdy twój model ma z kim rozmawiać.

Hallward zagryzł wargi.

– Skoro Dorian sobie tego życzy, oczywiście musisz zostać. Kaprysy Doriana są prawem dla każdego, oprócz dla niego.

Lord Henryk wziął kapelusz i rękawiczki.

– Bardzo jesteś uprzejmy, Bazyli, ale muszę odejść. Przyszedłem spotkać się z kimś u Orleanów¹⁰. Do widzenia, panie Gray. Niech pan odwiedzi mnie kiedy na Curzon Street. Prawie zawsze jestem w domu o piątej. Niech pan napisze mi, kiedy pan przyjdzie. Byłbym niezadowolony, gdyby pan mnie nie zastał.

– Bazyli – zawołał Dorian Gray – jeśli lord Henryk Wotton pójdzie, to i ja odejdę. Kiedy malujesz, nigdy ust nie otworzysz, a to strasznie nudno stać na podium i robić do tego przyjemny wyraz twarzy. Poproś pana, aby pozostał. Nalegam na to.

¹⁰ *u Orleanów* – w londyńskim Orleans Club, klubie zrzeszającym graczy w krykieta, istniejącym w l. 1878–1888. [przypis edytorski]

– Zostań Henryku, aby zobowiązać Doriana, a zobowiążesz mnie – powiedział Hallward, wpatrzony całkowicie w swój obraz. – To prawda, że nigdy nic nie mówię, kiedy pracuję, i nigdy nie słucham, gdy mówią do mnie, co musi być strasznie nudne dla mych nieszczęsnych modeli. Zostań, proszę cię.

– Ale co będzie z tym znajomym u Orleanów?

Malarz roześmiał się.

– Nie sędzę, aby miało to być przeszkodą. Siadaj, Henryku. A teraz, Dorianie, wejdź na podium, nie ruszaj się za dużo i nie zwracaj zbyt wielkiej uwagi na to, co mówi lord Henryk. Ma bardzo zły wpływ na wszystkich swych przyjaciół, z wyjątkiem mnie jednego.

Dorian Gray wstąpił na podium z wyrazem młodego męczennika greckiego, rzucając porozumiewawczy gest lekkiego niezadowolenia w kierunku lorda Henryka, którego już zdążył polubić. Taki był niepodobny do Bazylego. Oni obaj stanowili krańcowe przeciwieństwo. I miał tak piękny głos. Po paru chwilach zwrócił się do niego:

– Czy pan naprawdę wywiera tak zły wpływ, lordzie Henryku? Tak zły, jak o tym mówił Bazyl?

– Nie ma, panie Gray, czegoś, co można by nazwać dobrym wpływem. Każdy wpływ jest niemoralny, niemoralny ze stanowiska naukowego.

– Dlaczego?

– Wpływać na kogoś, jest to oddawać mu swą duszę. On już nie może myśleć swym własnym umysłem ani kierować się

swym własnym uczuciem. Jego cnoty nie należą już do niego. Nawet jego grzechy, jeśli grzechy w ogóle istnieją, są pożyczane. Staje się echem czyjejś obcej muzyki, aktorem w roli nie dla niego pisanej. Celem życia jest rozwój siebie samego. Naszym zadaniem jest doskonałość wyrażenia własnej istoty. Obecnie ludzie obawiają się samych siebie. Zapominają o najwyższym ze wszystkich obowiązków, o obowiązku względem siebie samego. Są istotnie miłośnierni. Karmią głodnych i odziewają nagich. Ale ich własna dusza cierpi głód i marznie. Rasa nasza pozbyła się odwagi. Może naprawdę nie posiadaliśmy jej nigdy. Przemoc społeczeństwa, będącego podstawą moralności, przemoc Boga, będącego tajemnicą religii – oto rządzące nami czynniki. A jednak...

– Odwróć głowę nieco na prawo, Dorianie, jak dobry chłopiec – wtrącił malarz, pogrążony w swej pracy, zdoławszy zauważyć tylko, że twarz Doriana przybrała nieznany mu przedtem wyraz.

– A jednak – mówił dalej lord Henryk cichym, dźwięcznym głosem, podkreślając słowa tym wytwornym ruchem ręki, z dawna mu właściwym jeszcze od czasów szkoły w Eton¹¹ – sądzę, że gdyby człowiek zdobył się, aby wyżyć się w pełni do dna, zechciał dać kształt każdemu uczuciu, wyraz każdej myśli, rzeczywistość każdemu marzeniu – sądzę, że świat doznałby takiego napływu świeżej radości, iż zapomnielibyśmy o wszystkich chorobach średniowiecza

¹¹ *Eton* – angielskie miasteczko nad Tamizą, na zachód od Londynu; znane głównie jako siedziba Eton College, elitarnej internatowej szkoły męskiej. [przypis edytorski]

i powrócilibyśmy do ideału helleńskiego, być może nawet do czegoś piękniejszego i bogatszego od ideału helleńskiego. Ale najodważniejszy wśród nas lęka się samego siebie. Samookaleczanie się dzikiego człowieka jest tragicznym przeżytkiem w samozaprzeczeniu zabagniającym nasze życie. Jesteśmy karani za naszą wstrzemięźliwość. Każde dążenie, które staramy się unicestwić, trawi naszego ducha i zatruwa nas. Najpierw grzeszy ciało i zadowala się swym grzechem, bowiem czyn jest pewnego rodzaju oczyszczeniem. Pozostaje tylko wspomnienie rozkoszy lub rozpustny żal. Jedynym sposobem zwalczania pokusy jest poddanie się jej. Gdy się opieramy, dusza nasza chorobliwie pożąda tego, czego jej odmówiono, potęgując swą żądzę pragnieniem tego, co potworne prawa uczyniły potwornym i bezprawnym. Powiedziano, że największe zdarzenia świata dokonywują się w mózgu. W mózgu też, i jedynie w mózgu spełniają się największe grzechy świata. Pan, panie Gray, z pańską różano-czerwoną młodością i z różano-białą chłopięcością, miewałeś uczucia, które cię napawały lękiem, myśli, które cię napełniały przerażeniem, marzenia na jawie i marzenia senne, na których samo wspomnienie twarz twoja oblewała się rumieńcem...

– Dość! – jęknął Dorian Gray. – Dość! Przeraża mnie pan. Nie wiem, co powiedzieć. Miałbym czym zaprzeczyć panu, ale nie umiem znaleźć. Niech pan nie mówi. Niech pan pozwoli mi się zastanowić. Albo raczej, niech pan pozwoli, abym przestał myśleć.

Blisko dziesięć minut stał bez ruchu, z otwartymi ustami, z dziwnie rozszerzonymi źrenicami. Niewyraźnie uświadamiał sobie, że jest pod wpływem działania zupełnie nowych sił, ale wydawało mu się zarazem, iż wypływają z niego samego. Kilka zdań wypowiedzianych przez przyjaciela Bazylego, zapewne przypadkowych, a bez wątpienia celowo paradoksalnych, poruszyło w nim jakąś tajemniczą, nigdy jeszcze niepotraconą strunę, która jednak rozedrgała teraz i rozkołysała się ciekawymi falami.

Podobnie oddziaływała nań muzyka. Niepokoiła go niekiedy, ale nie przemawiała doń słowami. Nie był to nowy świat, lecz raczej przez nią stwarzany w nas chaos. Słowa! Tylko słowa! Jakież przerażające! Jakież jasne, oczywiste i okrutne! Nikt im nie ujdzie. A jednak, jaki w nich magiczny czar! Zdają się tworzyć plastyczny kształt dla rzeczy bezkształtnych, posiadać swój własny rytm, równy dźwiękiem skrzypcom lub lutni. Tylko słowa! Jestże cokolwiek równie rzeczywistego jak słowa?

Tak, w dzieciństwie jego bywały zdarzenia, których nie rozumiał. Rozumie je teraz. Życie nabrało dlań nagle płomiennych barw. Wydawało mu się, że kroczył był w ogniu. Dlaczego nie wiedział o tym?

Lord Henryk czuwał nad nim ze swym spokojnym uśmiechem. Rozumiał psychologiczny moment milczenia. Poczuł się głęboko zaciekawionym. Zdumiewał się nagłością wrażenia, wywołanego jego słowami, a przypominając sobie książkę czytaną w szesnastym roku życia, która odkryła mu

nieprzeczuwane przedtem rzeczy, zachwycił się, że Dorian Gray doznaje podobnego doznania. Strzałę swoją wypuścił wprost w powietrze. Czyżby trafiła? Jaki czarujący jest ten młodzieniec!

Hallward wciąż malował w swój cudownie śmiały sposób, pełen prawdziwej wytworności i doskonałej szlachetności, co w sztuce jest, bądź co bądź, oznaką wypływającą z siły. Nie zauważył milczenia.

– Bazyli, jestem znużony pozowaniem – zawołał Dorian Gray.
– Muszę odejść i spocząć w ogrodzie. Tu jest duszno.

– Bardzo mi cię żal, mój drogi chłopcze. Kiedy maluję, o niczym nie myślę. Nigdy nie pozowałeś lepiej. Byłeś zupełnie spokojny. Ująłem nareszcie ów poszukiwany wyraz: wpółotwarte usta i szeroko rozwarte oczy. Nie wiem, co mówił ci Henryk, ale to na pewno on wywołał w tobie ten cudowny wyraz. Podejrzewam, że musiał prawić ci pochlebstwa. Nie wierz mu ani słowa.

– Właśnie, że nie prawił mi pochlebstw. Może też dlatego nie powinienem wierzyć w to, co powiedział.

– Wie pan najlepiej, że wierzy pan we wszystko – powiedział lord Henryk, patrząc na niego swymi marzycielskimi, znużonymi oczami. – Pójdę z panem do ogrodu. W pracowni jest strasznie gorąco. Bazyli, każ nam podać jaki napój chłodzący, coś z poziomkami.

– Dobrze, Henryku. Bądź łaskaw zadzwonić na Parkera, abym powiedział mu, czego chcecie. Muszę jeszcze podmalować to tło, po czym przyjdę do was. Nie zatrzymuj mi Doriana za długo.

Nigdy jeszcze lepiej jak dziś nie byłem usposobiony do pracy. Będzie to moje arcydzieło. To już jest moje arcydzieło.

Wyszedłszy do ogrodu, lord Henryk ujrzał Doriana Graya z głową wtuloną w olbrzymie pęki kwiecica bzu, namiętnie wchłaniającego mocną woń, jakby to było wino. Zbliżył się do niego i położył rękę na jego ramieniu.

– Dobrze pan robi – wyszeptał. – Nic tak nie zdoła uleczyć duszy, jak zmysły, tak samo, jak nie co innego, tylko dusza może uleczyć zmysły.

Młody człowiek zadrżał i cofnął się. Był bez kapelusza, a liście bzu odsunęły na tył głowy przekorne pukle włosów, płacząc ich złociste nici. W jego spojrzeniu zdawała ukazywać się trwoga, jak u człowieka nagle obudzonego. Wytwornie wyrzeźbione nozdrza drżały, a jakiś ukryty nerw kurczowo dygotał purpurowymi ustami.

– Tak – mówił lord Henryk – to jedna z największych tajemnic życia: leczyć duszę za pomocą zmysłów i zmysły za pomocą duszy. Jest pan zachwycającą istotą. Wie pan więcej, niż zdaje się wiedzieć, a jednak wie pan mniej, niż powinien.

Dorian Gray, marszcząc brwi, odwrócił głowę. Nie mógł nie polubić tego pięknego i pełnego wdzięku młodego mężczyzny, który stał przy nim. Jego romantyczna, oliwkowo zabarwiona, znużeniem nacechowana twarz zajmowała go. Jakiś nieprzeparty urok udzielał się z jego cichego, omdlewającego głosu. Nawet jego ręce, zimne, białe, podobne do kwiatów, miały w sobie niezwykle czar. Gdy mówił, poruszały się w takt rytmu,

jakby posiadały swą własną wymowę. Dorian lękał się go i równocześnie wstydził się swej obawy. Dlaczego musiał przyjść ów obcy człowiek, aby zobaczyć się sam w sobie? Bazylego Hallwarda znał od kilku miesięcy, ale przyjaźń z nim nie zmieniła go wcale. Nagle wkroczył w jego życie ktoś, mający – zda się – otworzyć mu tajemnicę życia. A jednak, dlaczego obawia się go? Nie jest przecież uczniakiem ani dziewczyną. Nedorzeczny jest ten jego lęk.

– Usiądźmy w cieniu – rzekł lord Henryk. – Parker przyniósł właśnie napoje, a jeśli dłużej będzie pan stał na tym skwarze, zepsuje pan sobie cerę i Bazyli nie będzie chciał pana malować. Istotnie, nie powinien się pan opalać. Byłoby z tym panu nie do twarzy.

– Cóż mi na tym zależy? – śmiejąc się, zawołał Dorian Gray, siadając na ławce w głębi ogrodu.

– Panu powinno bardzo na tym zależeć, panie Gray.

– Dlaczego?

– Bo jest pan cudownie młody, a młodość jest jedyną rzeczą godną posiadania.

– Nie uważam tego, lordzie Henryku.

– Nie uważa pan tego teraz. Przyjdzie dzień, gdy stanie się pan stary i brzydki, gdy myśl pomarszczy panu czoło, a ohydny żar namiętności spali usta, wówczas pan to zrozumie. Teraz gdziekolwiek się pan zwróci, czaruje pan wszystkich. Czy zawsze tak będzie?... Panie Gray, jest pan cudownie piękny. Niech pan nie marszczy czoła. Piękność jest jednym

z kształtów geniusza, piękność jest czymś więcej niż geniusz, bo nie wymaga objaśnień. Należy do wielkich zdarzeń świata, jak słońce, wiosna lub odbicie srebrnego sierpa księżycowego na ciemnych wodach. Ona nie podlega zaprzeczeniu. Posiada swe boskie prawo panowania. Książętami czyni tych, co ją posiadają. Pan się uśmiecha? Kiedyś, gdy ją pan postrada, nie będzie się pan uśmiechał... Mówią wprawdzie, że piękność jest tylko zewnętrzna. Być może. W istocie jednak jest mniej powierzchowna niż myśl. Dla mnie piękność jest cudem cudów. Tylko ludzie płytki nie sądzą według pozorów. Prawdziwa tajemnica świata tkwi w widzialnym, a nie w niewidzialnym... Tak, panie Gray, cieszy się pan łaską bogów. Co dają jednak, rychło też odbierają. Mało lat ma pan na życie prawdziwe, doskonałe i pełne. Z młodością przeminie pańska piękność i nagle odkryje pan, iż nie czekają już pana triumfy lub musi się pan zaspokajać tymi błahymi zwycięstwami, które wspomnienie pańskiej młodości uczyni gorszymi od klęsk. Każda odmiana księżyca zbliża pana do czegoś strasznego. Czas zazdrości panu i wiedzie bój o pańskie lilie i róże. Stanie się pan blady, twarz panu zapadnie, spojrzenie przygaśnie. Okropnie pan będzie cierpiał... Ach! Póki ją pan ma, niech pan urzeczywistnia swą młodość. Nie roztrwania złota swych dni, nie słucha głupców, starających się powstrzymać nieuniknioną klęskę, a strzeże się ludzi ciemnych, pospolitych i ordynarnych. To chorobliwy cel, fałsz naszej epoki. Niech pan żyje! Żyje swoim cudownym życiem! Nie traci ani jednej chwili. Niech pan szuka nowych wzruszeń. Nie lęka

się niczego... Nowy hedonizm¹² – oto, co stoi przed naszym stuleciem. Pan może być jego widowym symbolem. Nic nie istnieje, czego swoją osobowością nie mógłby pan dokazać. Na jeden sezon cały świat jest pański... Kiedy ujrzałem pana, od razu zauważyłem, iż nie wie pan sam, czym pan właściwie jest i czym może się stać. Czar, który w panu ujrzałem, podbił mnie, więc uczułem się zmuszony, aby opowiedzieć panu cośkolwiek o panu samym. Pomyślałem, iż byłoby tragiczne, gdyby się pan miał zmarnować. Bo młodość pańska będzie trwała tak krótko – tak bardzo krótko. Zwykle kwiaty polne więdną, ale rozkwitają na nowo. Na przyszły czerwiec wielokwiat będzie złocił się tak jak teraz. Za parę tygodni purpurowe gwiazdy będą się unosiły nad tym oto powojnikiem, a co roku zielona noc jego listowia tak samo będzie nosiła purpurę tych gwiazd. Ale nasza młodość nie wraca nigdy. Drgające w nas w roku dwudziestym tętno radości zaczyna słabnąć, nasze członki stają się ociężałe, zmysły tępieją. Wyradzamy się w obrzydliwe szkielety, w których pokutuje jedynie upiorne wspomnienie namiętności, którym nie ulegliśmy z lęku, i pokus, które odsunęliśmy przez brak odwagi. Młodość! Młodość! Na świecie nie ma nic ponad młodość!

Dorian Gray wsłuchiwał się, ze zdumienia rozszerzając źrenice. Gałązka bzu wypadła mu z ręki na ogrodową ścieżkę. Nadfrunęła włochata pszczoła i przez chwilę słychać było jej brzęk. Następnie zaczęła się wspinać po gwiazdzistych

¹² *hedonizm* – pogląd uznający przyjemność za najwyższe dobro i cel życia. [przypis edytorski]

koronach wytwornego kwiatu. Patrzył na nią z owym dziwnym zaciekawieniem dla rzeczy drobnych, jakie usiłujemy ukazywać, kiedy zajmują nas i trwożą rzeczy wielkie lub wstrząsa nami nowe uczucie o nieznanym wyrazie, lub jakaś straszna myśl napada nasz mózg i chce go opanować. Po chwili pszczoła odleciała. Widział, jak wchodziła w głąb kielicha powoju. Kwiat poruszył się i przez chwilę kołysał się wdzięcznie w dwie strony.

Nagle w drzwiach pracowni ukazał się malarz, niecierpliwymi znakami przyzywając ich z powrotem. Spojrzeli na siebie, uśmiechając się.

– Czekam – wołał on. – Chodźcież. Światło jest teraz doskonałe, a szklanki możecie wziąć z sobą.

Powstali i wolno podążyli ścieżką. Dwa zielono-białe motyle przefrunęły obok nich, a ze stojącej w kącie ogrodu gruszy odezwał się drozd.

– Cieszy się pan, panie Gray, że mnie pan poznał – rzekł lord Henryk, patrząc na niego.

– Tak, cieszę się... teraz. Czy zawsze będę się cieszył?

– Zawsze! To straszne słowo. Kiedy je słyszę, dreszcz mnie przechodzi. Słowo to lubią kobiety. Psują każdy romans, usiłując zrobić go wiecznym. Słowo to jest bez znaczenia. Jedyną różnicą między kaprysem a długotrwałym uczuciem jest to, że kaprys trwa nieco dłużej.

Gdy weszli do pracowni, Dorian Gray położył swą rękę na ramieniu lorda Henryka.

– W takim razie niech przyjaźń nasza będzie tylko kaprysem –

wyszeptał, rumieniając się ze wstydu nad własną odwagą, po czym wstąpił na podium i przyjął właściwą pozę.

Lord Henryk umieścił się wygodnie w szerokim trzcinowym fotelu i z uwagą śledził go. Ciszę mąciło jedynie tarcie pędzlem o płótno, tudzież kroki Hallwarda, zbliżającego się i oddalającego od obrazu dla sprawdzenia wyglądu swego dzieła. W ukośnych promieniach słońca, wpływających przez otwarte drzwi, wirował pył, złocąc się. Nad wszystkim zdawał się ciążyć upajający zapach róż.

W jakiś kwadrans później Hallward przestał malować, długo przyglądał się Dorianowi Grayowi, następnie obrazowi, ogryzając trzonek jednego z grubych pędzli i marszcząc brwi.

– Skończone – zawołał w końcu i schyliwszy się, wielkimi szkarłatnymi literami wypisał swe nazwisko w lewym rogu płótna.

Lord Henryk podszedł do obrazu i przyglądał mu się. Było to naprawdę cudowne dzieło sztuki i cudownie uchwycone podobieństwo.

– Mój drogi towarzyszu – powiedział – pozwól, że powinszuję ci najgoręcej. Jest to najpiękniejszy portret naszych czasów. Panie Gray, proszę przyjść zobaczyć siebie.

Młodzieniec zadrżał, jakby nagle przebudzony z marzenia.

– Naprawdę jest skończony? – wyszeptał, schodząc z podium.

– Najzupełniej – rzekł malarz. – Doskonale dziś pozowałeś. Jestem ci niezmiernie wdzięczny.

– Jest to całkowicie moją zasługą – wtrącił lord Henryk. –

Prawda, panie Gray?

Dorian nie odpowiedział, zbliżył się niedbale do portretu i popatrzył nań. Spojrzawszy, cofnął się, a policzki jego okryły się na chwilę rumieńcem zadowolenia. Błysk radości ukazał się w jego oczach, jakby rozpoznawał siebie samego po raz pierwszy. Stał chwilę bez ruchu i w zachwycie, na pół uświadamiając sobie, że Hallward mówi do niego, lecz zupełnie nie rozumiejąc znaczenia jego słów. Wrażenie własnej piękności zawładnęło nim jak objawienie. Nigdy dotąd tego nie odczuwał. Pochlebstwa Bazylego Hallwarda uważał raczej za czarującą przesadę przyjaźni. Słuchał ich, śmiejąc się, i wnet zapominał. Nie miało to na niego żadnego wpływu. Wtedy przyszedł lord Henryk Wotton ze swym dziwnym panegirym młodości i przerażającym ostrzeżeniem o krótkości jej trwania. W danej chwili uderzyło go to, a teraz wobec obrazu własnej piękności uczuł w sobie pełnię urzeczywistnienia tego wszystkiego. Tak, przyjdzie dzień, kiedy twarz jego zemnie się i pomarszczy, oczy zapadną się i utracą blask, wdzięk całej postaci złamie się i zniekształci. Zniknie purpura warg i zmatowieje złoto włosów. Życie, kształtując jego duszę, oszpeci ciało. Stanie się niemal straszny, okropny i niezdarny.

Na myśl o tym przeszył go ból dotkliwy, niby ułucie noża, wprawiając w drganie całe jego ciało aż do najdrobniejszego włókna. Pociemniał ametyst jego oczu, zaćmiła je łzawa mgła. Zdawało mu się, że jakaś lodowata dłoń dotyka jego serca.

– Czy ci się nie podoba? – zawołał w końcu Hallward, nieco

urazony milczeniem, nie odgadując jego znaczenia.

– Oczywiście, podoba mu się – rzekł lord Henryk. – Komuż mógłby nie podobać się? Jest to jedno z największych dzieł nowej sztuki. Dam ci za nie, co zechcesz. Muszę je mieć.

– Nie jest już moją własnością, Henryku.

– Do kogoż należy?

– Do Doriana, oczywiście – odparł malarz.

– Ten ma naprawdę szczęście.

– Jakie to smutne! – szeptał Dorian Gray, mając oczy wciąż wpatrzone we własny portret. – Jakie to smutne! Będę stary, obrzydliwy i ohydny. Jednak ten obraz pozostanie zawsze młody. Nigdy nie będzie starszy niż w dzisiejszy dzień czerwcowy... Gdybyż była tylko inna droga! Gdyby mogło stać się, abym ja był zawsze młody, a obraz starzał się. Za to, za to – dałbym wszystko! Tak, nie ma nic na świecie, czego bym za to nie oddał! Oddałbym za to własną duszę!

– Dla ciebie, Bazyli, zamiana taka nie byłaby pożądana – zawołał lord Henryk, śmiejąc się. – Zbyt ostre linie zarysowałyby się na twym obrazie.

– Broniłbym się przed tym bardzo ostro, Henryku – rzekł Hallward.

Dorian Gray odwrócił się i spojrzał na niego.

– I ja tak sędzę, Bazyli. Ty bardziej kochasz sztukę niż przyjaciół. Nie jestem dla ciebie niczym więcej od tej zielonej figurki z brązu. Najwyżej tyle, naprawdę.

Malarz patrzył nań zdziwiony. Nigdy nie słyszał Dorian

mówiącego w podobny sposób. Co się zdarzyło? Wyglądał na rozniewianego. Jego twarz zapłonęła, policzki oblał rumieniec.

– Tak – mówił dalej – nie znaczę dla ciebie tyle, co Hermes¹³ z kości słoniowej albo Faun¹⁴ ze srebra. Te będą ci się zawsze podobały. Jak długo mogę ci się jeszcze podobać? Przypuszczam, że dopóki nie dostanę pierwszej zmarszczki. Wiem już teraz, że tracąc urodę, jakąkolwiek by była, traci się wszystko. Twój obraz mnie tego nauczył. Lord Henryk Wotton ma zupełną rację. Młodość jest jedyną rzeczą mającą wartość. Skoro zauważę na sobie pierwsze oznaki starości, odbiorę sobie życie.

Hallward zbłądł i schwycił go za rękę.

– Dorianie! Dorianie! – zawołał – Nie mów tak. Nigdy nie miałem równego tobie przyjaciela i mieć nie będę. Nie możesz być zazdrosny o rzeczy martwe, nieprawdaż? Jesteś piękniejszy nade wszystko!

– Jestem zazdrosny o wszystko, co nie traci swej urody. Jestem zazdrosny o namalowany przez ciebie mój portret. Dlaczego on zachowa to, co ja muszę utracić? Każda przemijająca chwila zabiera coś ze mnie, a jemu dodaje. Ach, gdybyż mogła być inna droga! Gdyby obraz mógł podlegać zmianom, a ja żebym pozostał taki, jak teraz! Po co go namalowałaś? Pewnego dnia

¹³ *Hermes* (mit. gr.) – bóg podróży, kupców i złodziei, posłaniec bogów. [przypis edytorski]

¹⁴ *Faun* (mit. rzym.) – bóg płodności, pól i lasów, opiekun pasterzy, przedstawiany jako brodaty mężczyzna z kozłimi kopytami i rogami. [przypis edytorski]

będzie się naigrawał ze mnie, będzie się strasznie naigrawał! – Pałace łązy napęłniły jego oczy; załamał ręce i, osunąwszy się na kanapę, wtulił swą twarz w poduszki, jak gdyby modląc się.

– Oto twoje dzieło, Henryku – rzekł gorzko malarz.

Lord Henryk wzruszył ramionami.

– To jest prawdziwy Dorian Gray. Oto wszystko.

– Nieprawda.

– Jeśli nie, to cóż to może mnie obchodzić?

– Powinieneś być odejść, kiedy prosiłem cię o to – wyszeptał.

– Zostałem na twoją prośbę – odparł lord Henryk.

– Henryku, nie będę się sprzeczał naraz z moimi dwoma najlepszymi przyjaciółmi, ale obaj obrzydziliście mi moje najpiękniejsze dzieło, jakie kiedykolwiek zrobiłem. Dlatego je zniszczę. Czymże jest ono, jeśli nie płótnem i farbą? Nie chcę, aby stało na przekór nam trzem i gubiło nas.

Dorian Gray podniósł złocistą głowę z poduszek i załzawionymi oczami bladej twarzy spojrzał na niego, gdy podchodził do stolika z farbami, ustawionego pod wysokim, zasłoniętym oknem. Co on chce zrobić? Palce jego szukały czegoś w stosie starych tubek i suchych pędzli. Tak, szukał szpachli o ciekawym ostrzu z giętkiej stali. Znalazł ją wreszcie. Podeszedł do płótna, aby je pokrajać.

Ze zdławionym łkaniem Dorian zerwał się z kanapy, doskoczył do Hallwarda, wyrwał mu nóż i odrzucił na drugi koniec pracowni.

– Nie rób tego, Bazyli, nie rób tego! – zawołał. – To byłoby

morderstwem!

– Cieszę się, Dorianie, iż wreszcie cenisz me dzieło – rzekł malarz chłodno, otrząsnąwszy się z niespodziewanego zwrotu. – Nie myślałem, że dojdzie do tego.

– Cenić je? Ależ ja ubóstwiam je, Bazyli. Ono jest częścią mnie samego. Ja to czuję.

– Dobrze zatem, gdy tylko będziesz suchy, powerniksuje się ciebie, oprawi w ramy i odeśle do domu. Będziesz wówczas mógł zrobić z sobą wszystko, co ci się podoba. – Przeszedł w poprzek przez pokój i zadzwonił, aby podano herbatę. – Wszak napijesz się herbaty, Dorianie? I ty także, Henryku? Czy może gardzicie tak zwyczajną przyjemnością?

– Przepadam za zwykłymi przyjemnościami – powiedział lord Henryk. – Są one ostatnim schronieniem ludzi niezwykłych. Nie cierpię jednak scen, z wyjątkiem w teatrze. Z was obu, jacyż wariaci! Dziwię się temu, kto określił człowieka jako rozumne zwierzę. Jest to najbardziej przedwczesne określenie, jakie kiedykolwiek wygłoszono. Człowiek jest wszystkim, ale nie rozumnym. Zresztą jestem zadowolony, że nim nie jest. Przede wszystkim chciałbym, abyście nie kłócili się o ten portret. Zrobiłbyś, Bazyli, najlepiej, jeśli byś oddał go mnie. Ten niemądry chłopiec nie potrzebuje go wcale, a mnie na nim zależy.

– Bazyli, nie przebaczyłbym ci nigdy, gdybyś oddał go komukolwiek innemu niż mnie! – zawołał Dorian Gray. – A poza tym nie pozwalam nikomu, aby nazywano mnie niemądrym

chłopcem.

– Wiesz o tym, Dorianie, że obraz jest twój. Oddałem ci go, zanim jeszcze powstał.

– Wie pan także, że był pan nieco niemądry, panie Gray, i wie pan również, że nie powinien pan gniewać się, gdy panu ktoś przypomni, iż jest pan jeszcze bardzo młody.

– Jeszcze dziś rano, lordzie Henryku, bardzo bym się o to gniewał.

– Ach, dziś rano! Od tego czasu przeżył pan coś.

Zapukano do drzwi, wszedł służący z pełną tacą i postawił ją na małym japońskim stoliku. Wszczął się brzęk filiżanek i spodków i syk parującego samowaru. Chłopiec przyniósł dwa kuliste naczynia chińskie. Dorian Gray, podszedłszy, nalewał herbatę. Obaj mężczyźni powoli zbliżyli się do stołu i popatrzyli, co jest pod pokrywkami.

– Chodźmy wieczorem do teatru – odezwał się lord Henryk. – Gdzieś przecież znajdziemy cokolwiek. Przrzekłem dziś obiad u White'a¹⁵, ale tylko ze starym przyjacielem, więc zawiadomię go, że jestem słaby albo że zostałem zaskoczony późniejszym zaproszeniem. Będzie to doskonała wymówka, mająca pozory szczerości.

– Nieznośne jest ubieranie się we frak – zaznaczył Hallward.
– Wygląda się w nim tak okropnie.

– Tak – odparł marząco lord Henryk – ubiory w

¹⁵ u White'a – w najstarszym i jednym z najbardziej ekskluzywnych londyńskich klubów dla dżentelmenów, położonym przy St James's Street. [przypis edytorski]

wieku dziewiętnastym są obrzydliwe. Są tak ciemne, tak przygnębiające. Jedynie grzech jest rzeczywiście barwnym czynnikiem nowoczesnego życia.

– Nie powinienes mówić w ten sposób przy Dorianie, Henryku.

– Wobec którego Doriana? Czy tego, który nalewa herbatę, czy tego tam z obrazu?

– Wobec obu.

– Chciałbym pójść z panem do teatru, lordzie Henryku – odezwał się młodzieniec.

– Więc chodźmy. Ty też pójdziesz, Bazyli, prawda?

– Doprawdy, że nie mogę. Wolę pozostać. Mam dużo roboty.

– Zatem, pójdziemy my dwaj, panie Gray.

– Mam wielką ochotę.

Malarz przygryzł wargi i z filizanką w ręku podszedł do portretu.

– Zostanę z prawdziwym Dorianem – odezwał się smutno.

– Czyż to jest prawdziwy Dorian? – zawołał model portretu, podchodząc do obrazu. – Czyż jestem naprawdę taki?

– Tak, istotnie jesteś taki.

– To cudowne, Bazyli!

– Przynajmniej wydajesz się być taki z wyglądu. Ale on nie zmieni się nigdy – zaznaczył Hallward. – To ma wartość.

– Co za hałas robią ludzie z powodu wieczności! – zawołał lord Henryk. – Nawet w miłości jest to zagadnienie czysto fizjologiczne. Nie ma to nic wspólnego z naszą wolą. Młodzi

ludzie chcieliby być wierni, ale nie są, starzy ludzie pragnęliby być niewierni, ale nie mogą, oto wszystko, co można o tym powiedzieć.

– Nie chodź dziś do teatru, Dorianie – powiedział Hallward.
– Zostań u mnie na obiedzie.

– Nie mogę, Bazyli.

– Dlaczego?

– Ponieważ obiecałem lordowi Henrykowi Wottonowi, że pójdę z nim.

– Nie weźmie ci za złe, że nie dotrzymujesz obietnicy, bo sam często zawodzi. Proszę cię, nie chodź.

Dorian Gray roześmiał się, wstrząsając głową.

– Błagam cię o to.

Młodzieniec zawahał się i spojrzał na lorda Henryka, który spoza stołu z herbatą przyglądał mu się z rozbawionym uśmiechem.

– Muszę pójść, Bazyli – odparł.

– Więc dobrze – rzekł Hallward, zbliżając się do stolika i stawiając filiżankę na tacy. – Jest już późno, a jeśli macie się przebrać, nie powinniście tracić czasu. Do widzenia, Henryku. Do widzenia, Dorianie. Odwiedźcie mnie niebawem. Przyjdźcie jutro.

– Na pewno.

– Nie zapomnisz?

– Ależ na pewno – zawołał Dorian.

– A ty... Henryku?

– Ja również, Bazyli.

– Pamiętaj, o co prosiłem cię dziś rano w ogrodzie.

– Zapomniałem już.

– Polegam na tobie.

– Chciałbym sam móc polegać na sobie – powiedział lord Henryk, śmiejąc się. – Chodźmy, panie Gray, mój powóz czeka, odwiozę pana do domu. Do widzenia, Bazyli. Popołudnie dzisiejsze było bardzo ciekawe.

Skoro zamknęły się za nimi drzwi, malarz osunął się na kanapę, a na jego twarz wystąpił wyraz bólu.

Rozdział III

Nazajutrz o wpół do pierwszej lord Henryk Wotton udał się z Curzon Street do Albany¹⁶, do swego wuja lorda Fermora, dowcipnego, acz nieco rubasznego starego kawalera, nazywanego egoistą przez ludzi, którzy nie mogli nic z niego wyciągnąć, ale w towarzystwie uchodzącego za hojnego, bo suto podejmował tych, którzy umieli go zabawić. Jego ojciec był ambasadorem w Madrycie, gdy Izabela¹⁷ była młoda, a Prim¹⁸ nieznany, wycofał się jednak ze służby dyplomatycznej w chwili kapryśnego rozdrażnienia o to, że nie zaofiarowano mu ambasady w Paryżu, uważał bowiem to stanowisko jakby za przeznaczone dla siebie ze względu na urodzenie, bezwrażliwość usposobienia, poprawną angielszczyznę depesz i niezwykajne upodobanie w wesołym życiu. Syn był sekretarzem ojca i razem ze swym szefem również podał się był do

¹⁶ *Albany* – kompleks ekskluzywnych kawalerskich apartamentów przy ulicy Piccadilly w Londynie. [przypis edytorski]

¹⁷ *Izabela II Hiszpańska* (1830–1904) – królowa Hiszpanii (1844–1868) z dynastii Burbonów; w 1868 obalona w wyniku zamachu stanu, osiadła we Francji. [przypis edytorski]

¹⁸ *Prim y Prats, Juan* (1814–1870) – hiszpański polityk i generał; w 1843 wystąpił przeciwko buntowi radykalnych liberałów, co zapewniło mu awans na generała; w 1847 mianowany gubernatorem wojskowym Portoryko; w 1859–60 walczył w Maroku, w 1861 dowodził korpusem ekspedycyjnym w Meksyku, w 1868 odegrał ważną rolę podczas udanego zamachu stanu przeciw Izabeli II, w 1869 został szefem rządu Hiszpanii. [przypis edytorski]

dymisji, co poczytywano mu wówczas za pewną lekkomyślność. Zostawszy w parę miesięcy później spadkobiercą tytułu, zabrał się do poważnych studiów nad wielką arystokratyczną sztuką doskonałego próżnowania. Posiadał w mieście dwa duże domy, wolał jednak mieszkać w hotelu, bo to wygodniej, a jadł przeważnie w klubie. Trochę zajmował się swymi kopalniami węgla w hrabstwach środkowej Anglii, czynione mu z tego powodu zarzuty odpierając tym, że posiadanie kopalni węgla jest dla człowieka z towarzystwa przewagą pozwalającą mu na zbytek palenia we własnym kominku drzewem. W polityce był torysem¹⁹, o ile torysi nie byli u steru władzy, bo wówczas wciąż ich oskarżał, że są bandą radykałów. Był bohaterem dla swego służącego, który nim powodował, a postrachem dla przyjaciół, których on znowu tyraniizował z kolei. Jedynie Anglia mogła wydać podobnego człowieka, on zaś utrzymywał stale, że w kraju wszystko schodzi na psy. Jego zasady były przestarzałe, ale o jego przesadach dałoby się powiedzieć wiele dobrego.

Gdy lord Henryk wszedł do pokoju, zastał wuja w grubej kurtce myśliwskiej, palącego cygaro i pomrukującego nad przeglądany „Timesem”.

– I cóż, Henryku – zapytał stary lord – cóż cię sprowadza tak wcześniej? Sądziłem, że złota młodzież nie wstaje nigdy przed drugą i przed piątą nie jest widzialna.

¹⁹ torys – członek powstałego pod koniec XVII w. angielskiego stronnictwa politycznego, wspierającego silną władzę królewską, interesy ziemiaństwa i Kościoła; w 1834 stronnictwo przekształciło się w Partię Konserwatywną, potocznie nadal nazywaną torysami. [przypis edytorski]

– Czysty sentyment rodzinny, zapewniam cię, wuju Jerzy. Chciałem cię o coś prosić.

– Przypuszczam, że o pieniądze – rzekł lord Fermor z wyrazem niezadowolenia. – Zresztą, siadaj i mów, o co chodzi. Dzisiejsza młodzież wyobraża sobie, że pieniądź to wszystko.

– Tak – odparł lord Henryk, poprawiając kwiat w butonierce – a gdy zestarzeją się, wiedzą o tym na pewno. Ale ja nie potrzebuję pieniędzy. Potrzebują ich, wuju Jerzy, tylko ci, którzy płacą długi, ja nie płacę swoich. Kredyt jest kapitałem młodszych synów i żyje się z niego doskonale. Zresztą, mam stałe stosunki z dostawcami Dartmoora, a ci nigdy mnie nie niepokoją. Chciałem prosić wuja o pewne objaśnienie, i to nie o objaśnienie pożyteczne, ale właśnie o zgoła nieużyteczne.

– Świetnie, mogę powiedzieć ci wszystko, co zawiera angielska *Błękitna Księga*²⁰, choć obecnie pisze się w niej same głupstwa. Było znacznie lepiej, gdym jeszcze był dyplomatą. Lecz słyszałem, że teraz przyjmują do dyplomacji dopiero po egzaminie. Czegóż można się po tym spodziewać? Egzamin, panie, są zwykłym nabieraniem, od początku do końca. Jeżeli jest się człowiekiem z towarzystwa, już przez to samo wie się dosyć, jeżeli nie, wszystko, czegokolwiek można się nauczyć, jest tylko szkodliwe.

– Pana Doriana Graya, wuju Jerzy – rzekł lord Henryk znudzonym głosem – nie ma w *Błękitnej Księdze*.

²⁰ *Błękitna Księga* – tu: książka z nazwiskami i adresami ważnych osób, takich jak osobistości rządowe. [przypis edytorski]

– Pan Dorian Gray? Cóż to za jeden? – spytał lord Fermor, ściągając białe, krzaczaste brwi.

– Tego właśnie chciałbym dowiedzieć się, wuju Jerzy, choć właściwie wiem, kim on jest. To ostatni wnuk lorda Kelso. Matka jego była z domu Devereux, lady Małgorzata Devereux. Chciałbym, abyś mi opowiedział, wuju, o jego matce. Jak żyła? Z kim się pobrała? Za swoich czasów znałeś, wuju, cały świat, musiałeś więc znać ją również. Bardzo mnie teraz obchodzi pan Gray. Poznałem go właśnie.

– Wnuk lorda Kelso! – powtórzył stary lord. – Wnuk lorda Kelso!... Oczywiście... matkę jego znałem wybornie. Zdaje się nawet, że byłem na jej chrzcinach. Małgorzata Devereux była niezwykle piękną panną i pogrążyła nas wszystkich w rozpacz, uciekając z jakimś ubogim młodzieńcem, z człowiekiem bez znaczenia i bez grosza, niższym oficerem piechoty czy coś podobnego. Oczywiście. Pamiętam te sprawy, jakby działy się wczoraj. W parę miesięcy po ślubie zginął biedak w Spa²¹ w pojedynku. Była to nieładna historia. Opowiadano, że Kelso najał jakiegoś łajdackiego awanturnika, jakiegoś belgijskiego chama, ażeby publicznie znieważył jego zięcia. Zapłacił go, tak, panie, zapłacił go, a ów łotr zakłuł ofiarę jak gołębia. Sprawę zatuszowano, ale mimo to Kelso przez długi czas jadał swe zrazy w klubie w zupełnym osamotnieniu. Sprowadził córkę z powrotem, ale, jak opowiadano, nigdy nie odezwała się do ojca

²¹ *Spa* – miasto uzdrowiskowe w Belgii, w prowincji Liège, znane ze źródeł mineralnych. [przypis edytorski]

ani słowa. Och, tak, była to nieładna sprawa. W rok później panna umarła. Więc zostawiła syna? Zapomniałem o tym. I cóż to za chłopiec? Jeżeli podobny do matki, musi być urodziwy.

– Jest bardzo urodziwy – potwierdził lord Henryk.

– Spodziewam się, że pójdzie w dobre ręce – mówił dalej stary lord. – Jeżeli Kelso się nim zajął, dostanie kupę pieniędzy. Jego matka również miała majątek. Po dziadku dostały jej się całe dobra Shelby. Dziadek jej nienawidził Kelso, nazywał go podłym psem. Był nim naprawdę. Za mojego pobytu przybył kiedyś do Madrytu. Zaiste, wstyd mi było za niego. Królowa dopytywała się mnie, kto zacz jest ów szlachcic angielski, ustawicznie sprzeczący się z woźnicami o cenę przejażdżek. Była z tego cała gadanina. Przez miesiąc nie mogłem pokazywać się u dworu. Spodziewam się jednak, że z wnukiem obszedł się lepiej niż z tamtymi drabami.

– Nie wiem tego – odparł lord Henryk. – Zdaje mi się jednak, że chłopiec ma się dobrze. Jeszcze nie jest pełnoletni. Wiem, że Shelby jest jego. Mówił mi to. A... czy jego matka była naprawdę bardzo piękna?

– Małgorzata Devereux była jedną z najpiękniejszych istot, jakie kiedykolwiek znałem. Nigdy nie mogłem zrozumieć jej postępuku. Mogła była dowolnie wybierać męża. Carlington przepadał za nią. Bez wątpienia była romantyczką. W tej rodzinie każda kobieta jest romantyczna. Mężczyźni do niczego, ale kobiety zachwycające. Carlington czołgał się u jej stóp. Sam mi to opowiadał. Śmiała się z niego, a przecież nie było w Londynie

panny, która by o nim nie marzyła. Ale, Henryku, skoro mówimy o niedorzecznych małżeństwach, powiedz mi, co znaczy ten kawał twego ojca, jakoby Dartmoor żenił się z Amerykanką? Czyż nie ma już dla niego odpowiedniej Angielki?

– Teraz, wuju Jerzy, jest w dobrym tonie żenić się z Amerykankami.

– Przeciwnie całemu światu trzymam za Angielkami, Henryku – odrzekł lord Fermor, uderzając pięścią w stół.

– O Amerykanki idą dzisiaj zakłady.

– Mówiono mi, że nie dotrzymują placu – odburknął wuj.

– Długi bieg je wyczerpuje, ale są świetne w wyścigu z przeszkodami. W lot osiągają metę. Nie sądzę, aby Dartmoor miał widoki powodzenia.

– Cóż to za rodzina? – burczał stary lord. – Czy jest w ogóle rodziną?

Lord Henryk potrząsnął głową.

– Amerykanki ukrywają swych krewnych równe zręcznie, jak Angielki swą przeszłość – odpowiedział, zabierając się do odejścia.

– Przypuszczam, że są to świniobójcy?

– Spodziewam się tego, wuju Jerzy, na pomyślność Dartmoora. Słyszałem, że bicie świń jest w Ameryce zawodem po polityce najzyskowniejszym.

– Czy jest ładna?

– Zachowuje się tak, jakby była piękna. Wiele Amerykanek postępuje podobnie. Jest to tajemnicą ich wdzięku.

– Dlaczego te Amerykanki nie zostają u siebie w kraju? Wciąż nam przecież opowiadają, że jest to raj dla kobiet.

– Jest nim, ale zarazem jest to przyczyną, że na wzór Ewy starają się wydostać z niego jak najprędzej – odpowiedział lord Henryk. – Do widzenia, wuju Jerzy. Spóźniłbym się na śniadanie, pozostając dłużej. Dziękuję za udzielone mi wiadomości. Lubię wiedzieć wszystko, co dotyczy mych nowych przyjaciół, natomiast o starych niczego nie jestem ciekawy.

– Gdzie jesz śniadanie, Henryku?

– U ciotki Agaty. Zaprosiłem się do niej z panem Grayem. To jej ostatni protegowany.

– Ba! Powiedz no, Henryku, ciotce Agacie, aby dała mi już spokój ze swymi sprawami filantropijnymi. Mam tego dosyć. Poczciwa kobieta sądzi zapewne, że nie mam nic lepszego do roboty, niż wystawiać czeki na jej niemądre zachcianki.

– Dobrze, wuju Jerzy, powiem jej to, ale wątpię, czy na coś się przyda. Filantropi są pozbawieni humanitaryzmu. Jest to wyróżniającą cechą ich charakterystyki.

Stary lord mruknął potwierdzająco i zadzwonił na służącego. Lord Henryk, wyszedłszy przez niskie podcienie Burlington Street, skręcił w kierunku Berkeley Square.

Taka więc była historia rodziny Doriana Graya. Choć opowiedziana bez ogródek, zrobiła na nim wrażenie dziwnego, na wskroś nowoczesnego romansu. Piękna kobieta dla szalonej miłości stawiająca wszystko na jedną kartę. Kilka tygodni dzikiego szczęścia, przerwane nagle ohydą, zdradziecką

zbrodnią. Długie miesiące niemej męczarni, wreszcie dziecko zrodzone w niedoli. Matka zabrana przez śmierć, chłopiec opuszczony i oddany na pastwę tyranii starego egoisty. Tak, tło jest zajmujące. Postawiony na nim chłopiec występuje lepiej, niż było naprawdę. Poza wytwornością odnajduje się zwykle jakąś tragedię. Ziemia musi pracować, aby mógł rozwinąć się najdrobniejszy kwiat... Jakiż był on czarujący przy wczorajszym obiedzie, gdy z promieniejącymi oczami i na pół rozwartymi ustami, pełen niespokojnej radości, siedział w klubie naprzeciw niego, a czerwone blaski świec silniej różowiły budzący się cud jego twarzy. Rozmowa z nim była grą na wyśmienitych skrzypcach. Odpowiadał na każde dotknięcie, każde pociągnięcie skrzypka... Było w tym doświadczeniu wpływu coś przerażająco ujmującego. Podobnego działania nie da się porównać z niczym. Własną duszę wlać w jakiś wykwintny kształt i pozostawić ją w nim przez chwilę; słyszeć, niby w odbiciu echa, swój własny rozum, wzbogacony rytmem uczucia i młodości; swój temperament wcielić w kogoś drugiego, niczym subtelny fluid lub niezwyklej aromat – w tym była radość prawdziwa, może najwyższa radość, jaka zadowolić może w naszych ograniczonych, nędznych czasach, czasach gruboskórnego użycia i wielce pospolitych dążeń... Spotkany przypadkiem w pracowni Bazylego chłopiec był cudownym wzorem człowieka, albo raczej doskonałym nań tworzywem. Ucieleśniał on w sobie urok i białą czystość chłopięcości i takie piękno, jakie dochowały nam stare greckie marmury.

Nie ma nic, czego by się nie dało z niego utworzyć. Może być zarówno tytanem²², jak zabawką. Jakież to smutne, że takie piękno musi podlec zwiędnięciu!... A Bazyli? Jakież był zajmujący ze stanowiska psychologicznego! Nowy styl w sztuce, nowy sposób poglądu na życie, natchniony jedynie przez obecność nieświadomego swej roli człowieka; duch milczenia, przebywający w leśnym mroku, kroczący niepostrzeżenie przez otwarte pola, ukazujący się nagle i bez wywoływania lęku, jak driada²³, budzący w duszy tego, co go szukał, cudowną moc widzenia, jedyną, która objawia rzeczywiste cuda. Zewnętrzne pozory podniesiono tu do wzniosłości symbolu, jakby one same nie były tylko cieniem innych, doskonalszych kształtów. Jakże to wszystko dziwne! Szukał czegoś podobnego w historii. Czyż Plato²⁴, ów mistrz myśli, nie pierwszy zastanawiał się nad tym? Czy Buonarrotti²⁵ nie wyrzeźbił tego w barwnym marmurze cyklu sonetów? W naszym jednak wieku było to niezwykle... Tak, spróbuje stać się tym dla Doriana Graya, czym chłopiec ów był nieświadomie dla malującego jego portret artysty. Spróbuje go

²² *tytani* (mit. gr.) – bogowie z pokolenia olbrzymów poprzedzającego bogów olimpijskich. [przypis edytorski]

²³ *driady* (mit. gr.) – boginki leśne, duchy drzew. [przypis edytorski]

²⁴ *Platon* (427–347 p.n.e.) – gr. filozof, kluczowa postać w rozwoju filozofii; uczeń Sokratesa, nauczyciel Arystotelesa; twórca idealizmu filozoficznego, założyciel szkoły zwanej Akademią Platonią. [przypis edytorski]

²⁵ *Buonarrotti*, właśc. *Michelangelo di Lodovico Buonarroti Simoni*, zw. *Michałem Aniołem* (1475–1564) – włoski malarz, rzeźbiarz, poeta i architekt epoki renesansu. [przypis edytorski]

opanować, już nim niemal ośwładał. Podbije na własność tę cudowną istotę. Jest coś urocznego w tym synu Miłości i Śmierci.

Nagle przystanął i rozejrzał się po domach. Spostrzegł, że minął już dom ciotki i uśmiechając się do siebie, zawrócił. Gdy wchodził do dość ciemnego przedpokoju, służący oznajmił mu, że właśnie podano do stołu. Jednemu z lokajów oddał kapelusz i laskę i wszedł do jadalni.

– Henryk spóźniony, jak zwykle – zawołała ciotka, kłaniając mu się głową.

Łatwo znalazł wymówkę i siadając na niezajętym przy niej krześle, rozglądał się po zebranych. Z końca stołu skłonił mu się nieśmiało Dorian, z zadowolenia rumieniąc się. Naprzeciw siedziała księżna Harley, dama o niezwyklej dobroci charakteru i usposobienia, lubiana przez każdego, kto ją tylko znał. Odznaczała się obfitością architektonicznych proporcji, które historyk współczesny, gdyby nie chodziło o księżną, nazwałby otyłością. Obok niej, po prawej stronie, siedział pan Tomasz Burdon, radykalny członek parlamentu, tylko w polityce idący za swym przywódcą, natomiast w życiu prywatnym kierował się dobrą kuchnią, jadając z torysami, a myśląc z liberałami, zgodnie z mądrą i dobrze znaną zasadą. Miejsce z lewej strony zajmował pan Erskine z Treadley, starszy pan z dużym wdziękiem i kulturą, który jednak popadł w zły nałóg milczenia, ponieważ – jak to kiedyś wyłuszczył ciotce Agacie – wszystko co miał do powiedzenia, powiedział już był przed trzydziestym rokiem swego życia. Sąsiadką lorda Henryka była pani Vandeleur, jedna

z najstarszych przyjaciółek ciotki, prawdziwa święta między niewiastami, ubrana jednak tak okropnie, że przypominała niedbale oprawioną książkę do nabożeństwa. Na szczęście z drugiej strony siedział obok niej lord Faudel, bardzo sprytna miernota w średnim wieku, świecący łysiną jak orędzie ministerialne w Izbie Gmin²⁶; ona jednak rozmawiała z nim z ową głęboką powagą będącą niewybaczalną wadą, w jaką, jak sam to raz zauważył, popadają wszyscy ludzie naprawdę dobrzy, aby już nie wyleczyć się z niej.

– Mówimy o tym biednym Dartmoorze, lordzie Henryku – odezwała się księżna, wdzięcznie pochylając ku niemu głowę ponad stołem. – Czy sądzi pan, że istotnie ożeni się z tą zachwycającą dziewczyną?

– Przypuszczam, księżno, że to ona ma zamiar mu się oświadczyć.

– Coś strasznego! – krzyknęła lady Agata. – Należałoby temu przeszkodzić.

– Wiem z najlepszego źródła, że jej ojciec ma olbrzymią fabrykę towarów łokciowych²⁷ – rzekł pogardliwie pan Tomasz Burdon.

– Mój wuj, panie Tomaszu, miał go już za świniobójcę.

– Towary łokciowe! Jakież towary łokciowe wyrabia

²⁶ *Izba Gmin* – niższa izba brytyjskiego parlamentu. [przypis edytorski]

²⁷ *towary łokciowe* (przestarz.) – tkaniny, wstążki itp. sprzedawane w sklepiku na łokcie, tj. odwijane z beli i przycinane do długości pożądanej przez klienta. [przypis edytorski]

Ameryka? – zapytała księżna, podnosząc w górę swą szeroką rękę, jakby podkreślając swe słowa.

– Amerykańskie romanse – odparł lord Henryk, biorąc z półmiska kawałek przepiórki.

Księżna zmieszała się.

– Nie zważaj na niego, moja droga – szepnęła lady Agata. – On sam nigdy nie wie, co mówi.

– Kiedy odkryto Amerykę – odezwał się poseł radykalny i począł przytaczać banalne zdarzenia.

Jak każdy, kto pragnie wyczerpać przedmiot, i on wyczerpał cierpliwość swych słuchaczy. Księżna westchnęła i skorzystała z przysługującego jej przywileju, przerywając mu:

– Bodajby nie odkryto jej nigdy! – zawołała. – Doprawdy, nasze panny nie mają teraz powodzenia. To niesprawiedliwe.

– A może Ameryka wcale nie została odkryta – rzekł pan Erskine. – Twierdziłbym niemal, że to tylko urojenie.

– O, kiedy ja widziałam próbki jej mieszkańek – odparła, wahając się, księżna. – Muszę przyznać, że po większej części nadzwyczaj przystojne. Ubierają się też bardzo dobrze. Wszystko dają sobie robić w Paryżu. Byłabym zadowolona, gdybym sobie mogła na to pozwolić.

– Opowiadają, że gdy dobry Amerykanin umrze, udaje się do Paryża – chichocząc, wtrącił pan Tomasz, posiadając w zapasie obszerną garderobę znoszonych ubrań księcia Dowcipu.

– Naprawdę! A dokąd idzie po śmierci zły Amerykanin? – zapytała księżna.

– Do Ameryki – odpowiedział lord Henryk.

Pan Tomasz zmarszczył brwi.

– Obawiam się, że siostrzeniec pani ma uprzedzenie do tego wielkiego kraju – rzekł do lady Agaty. – Byłem tam, przejechałem cały kraj w pociągu dostarczonym przez dyrekcję, która w podobnych wypadkach jest niesłychanie uprzejma. Zapewniam państwa, że taka podróż bardzo kształci.

– Ale, czyż istotnie musimy zwiedzać Chicago po to, aby się wykształcić? – zapytał żałośnie pan Erskine. – Nie czuję się na siłach do takiej podróży.

Pan Tomasz machnął ręką.

– Pan Erskine z Tredley ma cały świat w swej bibliotece. My, ludzie praktyczni, lubimy rzeczy oglądać, a nie czytać o nich. Amerykanie są narodem nadzwyczaj zajmującym. Są przede wszystkim bezwzględnie rozsądni. Sądzę, że jest to ich główną cechą charakterystyczną. Tak, panie Erskine, bezwzględnie rozsądny naród. Upewniam pana, że w Ameryce nie ma ludzi niedorzecznych.

– Jakie to straszne! – zawołał lord Henryk. – Mogę znieść surową przemoc, ale surowy rozsądek jest wprost nieznośny. W jego postępkach jest coś z niesprawiedliwości. On schodzi poniżej rozumu.

– Nie rozumiem pana – rzekł pan Tomasz, czerwieniejąc.

– Ja rozumiem, lordzie Henryku – wyszeptał pan Erskine, uśmiechając się.

– Na tym polu paradoksy są na miejscu... – zauważył baronet.

– Czy to był paradoks? – zapytał pan Erskine. – Nie sądzę. Zresztą możliwe. Droga paradoksów jest drogą prawdy. Aby udowodnić rzeczywistość, musimy zobaczyć ją na wyciągniętej linii. Prawdy możemy sądzić dopiero wówczas, gdy staną się akrobatkami.

– Mój Boże! – rzekła lady Agata. – Czego ci mężczyźni nie wygadują! Z pewnością nigdy nie zrozumieję tego, o czym rozprawiacie. Och! Henryku, jestem na ciebie naprawdę rozgniewana. Dlaczego starasz się wpłynąć na naszego miłego pana Doriana Graya, aby opuścił East End? Zapewniam cię, iż byłby dla nas wprost nieoceniony. Jego muzyka podobałaby się na pewno.

– Chciałbym, aby zagrał dla mnie – zawołał lord Henryk, uśmiechając się, i patrzył na koniec stołu, skąd biegło doń błyszczące spojrzenie odpowiedzi.

– Ale ci w Whitechapel są tacy nieszczęśliwi – nalegała lady Agata.

– Ze wszystkim mogę współczuć, oprócz cierpienia – rzekł lord Henryk, wzruszając ramionami. – Nie mogę z nim współczuć. Zbyt jest brzydkie, zbyt straszne, zbyt przygnębiające. Jest coś straszliwie chorobliwego w nowoczesnym współczuciu dla niedoli. Można się wzruszać barwą, pięknem, radością życia. Im mniej się mówi o mrokach życia, tym lepiej.

– A jednak East End jest zagadnieniem bardzo doniosłym – zauważył pan Tomasz, poważnie poruszając głową.

– Całkiem słusznie – odparł młody lord. – Jest to zagadnienie niewolnictwa, a my staramy się rozwiązać je, zabawiając niewolników.

Polityk spojrzał nań przenikliwie.

– Jakież więc zmiany pan by wprowadził? – zapytał.

Lord Henryk roześmiał się.

– Nic w Anglii nie chcę zmieniać oprócz pogody – odparł. – W zupełności wystarcza mi rozmyślanie filozoficzne. Ponieważ wszakże wiek dziewiętnasty zbankrutował przez nadmiar współczucia, więc radziłbym, aby przywołać na pomoc Naukę. Zaletą uczuć jest to, że wiodą nas na bezdroża, zaletą Nauki, że wcale nie jest uczuciowa.

– Mamy jednak na sobie tak poważną odpowiedzialność – zauważyła bojaźliwie pani Vandeleur.

– Niezmiernie poważną – potwierdziła lady Agata.

Lord Henryk spojrzał na pana Erskine'a.

– Ludzkość sama siebie bierze zbyt poważnie. Jest to pierworodny grzech świata. Gdyby człowiek jaskiniowy umiał się być śmiać, historia poszłaby odmiennym torem.

– Pokrzepia mnie pan, naprawdę – zaszczebiotała księżna. – Zawsze poczuwałam się do winy wobec pańskiej drogiej ciotki, gdyż East End nie zajmuje mnie wcale. Odtąd będę mogła spoglądać w jej oczy, nie rumieniać się.

– Rumieniec, księżno, jest zawsze do twarzy – zauważył lord Henryk.

– Tylko wtedy, gdy jest się młodą – odparła. – Kiedy rumieni

się kobieta tak stara, jak ja, jest to złym znakiem. Ach, lordzie Henryku, chciałabym, aby nauczył mnie pan, jak odzyskać młodość.

Namyślał się chwilę.

– Czy księżna przypomina sobie jakiś wielki grzech popełniony w młodości? – zapytał, patrząc na nią ponad stołem.

– Obawiam się, że nazbyt wiele – zawołała.

– Niech pani je znowu popełnia – odrzekł poważnie. – Aby wrócić młodość, należy tylko powtarzać dawne szaleństwa.

– Zachwycająca teoria! – wykrzyknęła. – Muszę zastosować ją praktycznie.

– Niebezpieczna teoria! – wycodził pan Tomasz z zaciśniętych ust.

Lady Agata poruszyła głową, ale nie mogła powstrzymać się od rozbawienia. Pan Erskine słuchał.

– Tak – mówił dalej – jest to jedna z największych tajemnic życia. Większość ludzi umiera dziś z nadmiaru zdrowego rozsądku, za późno spostrzegając, że jedyną rzeczą, której im żal, to własne błędy.

Całe towarzystwo wybuchło śmiechem.

A on igrał z myślą i rozzuchwalał się coraz więcej; ciskał ją w przestrzeń i przetwarzał ją; pozwalał jej umknąć i znowu ją chwycił; ubierał ją w tęczne barwy fantazji i uskrzydlał paradoksami. Pochwałę głupstwa wznosił na wyżyny filozofii, a filozofię odmładzał, poddawał ją pod rytm muzyki rozkoszy, złościł wyobraźnię, ubierał w suknie splamione winem i wieńczył

bluszczem, wiódł ją tanecznym krokiem bachantki²⁸ przez wzgórze życia, naigrawając się z trzeźwości leniwego piękna. Rzeczywistość uciekała przed nią niczym zwierzyna leśna. Jej białe stopy uderzały o wzburzone fale, nad którymi zasiadł mądry Omar²⁹; kipiący sok winnego grona bluznał na jej ciało purpurową strugą lub czerwoną pianą przelewał się po czarnych, obryzganych ścianach kadzi. Była to nadzwyczajna improwizacja. Czuł, że oczy Doriana Graya spoczywały na jego ustach, a świadomość, iż między słuchaczami znajduje się ten, kogo pragnie oczarować i usidlić, podniecała bystrość jego dowcipu i barwność wyobraźni. Był świetny, fantastyczny, nieokiełzany. Wywiódł słuchaczy poza nich samych, aby wśród śmiechu zdążali za grą jego fletu. Dorian Gray nie spuszczał go z oczu, trwał jak zaklęty, po jego wargach przesuwwały się cienie uśmiechu, a głębokie zdumienie mroczyło mu oczy.

Wreszcie rzeczywistość wkroczyła do sali w nowoczesnym stroju służącego, oznajmającego księżnej, że powóz czeka. Załamała ręce z komiczną rozpaczą.

– Jakie to niezdolne! – zawołała. – Muszę pójść. Mam wstąpić do klubu po męża, aby zabrać go na jakieś głupie

²⁸ *bachantka* (mit. gr.) – nimfa z orszaku boga wina Dionizosa (Bakchosa). [przypis edytorski]

²⁹ *Omar Chajjam* (1048–1131) – perski poeta, astronom, filozof, lekarz i matematyk; znany przede wszystkim jako autor *Rubajjatów*, poetyckich czterowierszy, przetłumaczonych przez angielskiego pisarza i poetę Edwarda FitzGerala w 1859. [przypis edytorski]

zebranie w Salonach Willisa³⁰, gdzie ma przewodniczyć. Jeśli się spóźnię, będzie zły, a w tym kapeluszu nie mogę się narażać na sceny. Zbyt jest wiotki. Ostre słowo mogłoby go zniszczyć. Nie, muszę pójść, droga Agato. Do widzenia, lordzie Henryku, był pan przemiły i straszliwie znieprawiający. Nie mam pojęcia, co sądzić o pańskich poglądach. Musi pan przyjść któregoś wieczoru do nas na obiad. We wtorek? Jest pan wolny we wtorek?

– Dla księżnej gotów jestem każdemu innemu zrobić zawód – rzekł lord Henryk, kłaniając się.

– O, to bardzo pięknie i bardzo niesprawiedliwie z pańskiej strony – zawołała. – Więc przyjdzie pan. – Po czym wyszła z pokoju, odprowadzana przez lady Agatę i inne panie.

Gdy lord Henryk znów usiadł, pan Erskine okrążył stół i zajmując krzesło obok niego, położył rękę na jego ramieniu.

– Mówi pan jak z książki – powiedział. – Dlaczego pan nie pisze?

– Zbyt lubię czytać książki, abym je pisał, panie Erskine. Zresztą, napisałbym może powieść tak piękną, jak perski kobierzec i równie nieprawdziwą. Ale publiczność angielska czytuje tylko dzienniki, podręczniki i encyklopedie. Z całego

³⁰ *Salony Willisa*, ang. *Willis's Rooms* – sieć klubów towarzyskich w Londynie, z głównym klubem przy King Street w dzielnicy St. James, do którego przynależność uważano za potwierdzenie wysokiej rangi społecznej; członkami mogli być zarówno mężczyźni, jak i kobiety; były miejscem obiadów, koncertów i balów; pierwotnie nazywane Almack's Assembly Rooms, od swego założyciela, Williama Almacka, od 1792 w zarządzie Jamesa Willisa, stąd nazwa używana w XIX w. [przypis edytorski]

świata Anglicy mają najmniej poczucia dla literackiego piękna.

– Obawiam się, że ma pan rację – odparł pan Erskine. – Ja sam miałem ambicje literackie, ale od dawna pożegnałem się z nimi. A teraz, mój drogi przyjacielu, jeśli pozwolisz, że cię tak nazwę, powiedz, czy naprawdę wierzysz sam w to, coś nam opowiadał przy śniadaniu.

– Już nie pamiętam, co mówiłem – odparł lord Henryk z uśmiechem. – Czy coś złego?

– I to bardzo złego. Wydaje mi się pan człowiekiem niezwykle niebezpiecznym, jeśli więc przydarzy się cokolwiek naszej kochanej księżnej, odpowiedzialność złożymy przede wszystkim na pana. Chciałbym jednak pomówić z panem o życiu. Moje pokolenie było nudne. Któregoś dnia, kiedy poczuje się pan znużony Londynem, niech pan przyjedzie do Treadley, aby wyłożyć mi swą filozofię rozkoszy, popijając wybornego burgunda, którego posiadam, na szczęście, dość wiele.

– Jestem zachwycony. Wizyta w Treadley będzie dla mnie dużym zaszczytem. Jest tam doskonały gospodarz i świetna biblioteka.

– Całości dopełni pan – odpowiedział stary pan z dworskim ukłonem. – A teraz muszę pożegnać pańską cudowną ciotkę. Czekają na mnie w Ateneum³¹. To godzina naszego tam spania.

– Czy dla wszystkich, panie Erskine?

³¹ *Ateneum*, ang. *Athenaeum Club* – klub w Londynie dla mężczyzn i kobiet o zainteresowaniach intelektualnych, szczególnie dla mających osiągnięcia w nauce, literaturze lub sztuce, zał. w 1824. [przypis edytorski]

- Dla nas czterdziestu, w czterdziestu fotelach. Przygotowujemy Angielską Akademię Umiejętności.
- Lord Henryk roześmiał się, wstając.
- Idę do parku – zawołał.
- W drzwiach Dorian Gray dotknął jego ramienia.
- Proszę mi pozwolić sobie towarzyszyć – wyszeptał.
- Zdawało mi się, że pan obiecał wizytę Bazylemu Hallwardowi – odparł lord Henryk.
- Wolałbym pójść z panem. Tak, czuję, że muszę być z panem. Niech mi pan pozwoli. I przyrzeknie mi pan mówić do mnie przez cały czas? Nikt nie mówi tak cudownie, jak pan.
- Ach! Na dziś mówiłem już dosyć – odrzekł lord Henryk, uśmiechając się. – Chciałbym teraz nieco popatrzeć na życie. Jeżeli ma pan ochotę, może pan pójść i patrzeć razem ze mną.

Rozdział IV

Pewnego popołudnia w miesiąc później Dorian Gray, zagłębiając się w wygodnym fotelu, siedział w małej bibliotece lorda Henryka na Mayfair. W swoim rodzaju był to prześliczny pokój, z wysokimi boazeriami z drzewa dębowego, zabójczanego na oliwkę, z fryzem żółtego koloru, ze sztukateriami na suficie i z ceglastym perskim kobiercem o jedwabnym, długim włosie. Na misternym stoliku z politurowanego drzewa stała statuetka Clodiona³², obok niej egzemplarz *Cent Nouvelles*³³, oprawiony przez Clovisa Eve³⁴ dla Małgorzaty de Valois³⁵ i obficie ozdobiony w ulubiony emblemat tej królowej, złociste stokrotki. Na kominku stały rzędem niebieskie wazy chińskie i pstre tulipany, a przez wąskie szybki witrażowego okna przedostawało się brzoskwiniowe światło letniego londyńskiego dnia.

Lorda Henryka jeszcze nie było. Spóźniał się z zasady, twierdząc, że punktualność jest złodziejem czasu. Młodzieniec wydawał się nieco nadąsany i z roztargnieniem przewracał kartki

³² *Clodion*, właśc. *Claude Michel* (1738–1814) – francuski rzeźbiarz tworzący w stylu rokoka, znany gł. z dzieł w terakocie. [przypis edytorski]

³³ *Cent Nouvelles* – fr.: *Sto opowieści*, zbiór opowiadań francuskich wydany w 1455. [przypis edytorski]

³⁴ *Ève, Clovis* (ok.1565–1634) – renesansowy francuski introligator i księgarz. [przypis edytorski]

³⁵ *Małgorzata de Valois* a. *Małgorzata Walezjuszka* (1553–1615) – królowa Francji i Nawarry. [przypis edytorski]

wspaniale ilustrowanego wydania *Manon Lescaut*³⁶, które znalazł na jednej z półek. Monotonne cykanie zegara w stylu Ludwika XIV drażniło go. Parokrotnie zbierał się do odejścia.

Nagle usłyszał na zewnątrz kroki i drzwi otworzyły się.

– Tak bardzo się spóźniłeś, Henryku! – burknął.

– Niestety, to nie Henryk, panie Gray – odpowiedział ostry głos.

Odwrócił się szybko i powstał.

– Przepraszam panią. Myślałem...

– Myślał pan, że to mój mąż. To tylko jego żona. Musi pan przedstawić mi się sam. Znam pana dobrze z fotografii. Zdaje mi się, że mąż mój ma ich coś ze siedemnaście.

– Nie siedemnaście, lady Henrykowo?

– Więc osiemnaście. A zeszłego wieczora widziałam pana z nim w operze. – Mówiła, śmiejąc się nerwowo i patrząc nań mglistymi oczami o barwie niezapominajki. Była to szczególna kobieta, ubrana zawsze w suknie pomyślane w przystępie szału, a włożone wśród burzy. Była wciąż kimś zajęta, a ponieważ nie znajdowała wzajemności, mogła zachować swe złudzenia. Starła się być malownicza, a wyglądała niezgrabnie. Na imię jej było Wiktoria i miała wyraźną manię chodzenia do kościoła.

– Zdaje się, lady Henrykowo, że było to na *Lohengrinie*³⁷?

³⁶ *Manon Lescaut* – właśc.: *Historia kawalera des Grieux i Manon Lescaut*, powieść Antoine'a Prévosta wyd. w 1731, poświęcona problemowi namiętności. [przypis edytorski]

³⁷ *Lohengrin* – opera romantyczna niem. kompozytora Ryszarda Wagnera (1813–1883) z 1850 r., na podstawie średniowiecznej legendy o Rycerzu Łabędzia. [przypis

– Tak, na moim ulubionym *Lohengrinie*. Wagnera przekładałam nad wszystkich muzyków. Taki jest głośny, że można ciągle mówić i nie być słyszaną. To duża zaleta, panie Gray, nieprawdaż?

Ten sam nerwowo urywany śmiech zerwał się z jej cienkich warg, a palce jej zaczęły bawić się szylkretowym³⁸ nożem do papieru.

Dorian uśmiechnął się, potrząsając głową.

– Przykro mi, lady Henrykowo, że nie dzielam pani zdania. Nigdy nie rozmawiam podczas muzyki, przynajmniej podczas dobrej muzyki. Gdy trafi się na złą, to bez wątpienia należy zagłuszyć ją rozmową.

– Ach, to pogląd Henryka, nieprawdaż, panie Gray? Zazwyczaj poznaję poglądy Henryka z ust jego przyjaciół. To jedyna droga, na której mogę je poznać. Proszę jednak nie myśleć, że nie lubię dobrej muzyki. Zachwycam się nią, ale również obawiam się jej. Czyni mnie zbyt romantyczną. Henryk wymawiał mi nawet, że wprost przepadam za pianistami, nieraz za dwoma naraz. Nie wiem, czemu to przypisać. Być może ich cudzoziemczyźnie. Bo wszak oni wszyscy są cudzoziemcami, nieprawdaż? Nawet jeśli są urodzeni w Anglii, po pewnym czasie stają się cudzoziemcami, czyż nie? To z pewnością z ich strony i zaszczytnie dla sztuki, bo czyni ją zupełnie kosmopolityczną, nieprawdaż? Pan nigdy, panie Gray, nie był u mnie na przyjęciu,

dla czego? Musi pan przyjść. Nie mogę sobie pozwolić na orchidee, ale nie szczędzę starań o cudzoziemców. Nadają salonowi tak malowniczy wygląd. Ale oto i Henryk! Henryku, weszłam tu, aby zapytać cię o coś, zapomniałam o co, i zastałam pana Graya. Bardzo przyjemnie gawędziliśmy o muzyce. Mamy zupełnie te same poglądy. Nie, raczej wręcz przeciwnie. Ale pan był bardzo uprzejmy. Cieszę się, że go poznałam.

– Jestem zachwycony, moja kochana, wprost zachwycony – powiedział lord Henryk, wznosząc do góry czarne łuki brwi i z drwiącym uśmiechem spoglądając na ich dwoje. – Wybacz, Dorianie, że się spóźniłem. Byłem na Wardour Street po kawałek dawnego brokatu i musiałem się godzinami targować. Dziś każdy zna się na cenie wszystkiego, nie znając wartości niczego.

– Martwi mnie, że muszę już odejść – zawołała lady Henrykowa, krępujące milczenie przerywając nagle pustym śmiechem. – Obiecałam księżnej, że przejadę się z nią. Do widzenia, panie Gray. Do widzenia, Henryku. Czy jesteś gdzieś zaproszony? Ja również. Może spotkamy się u lady Thornbury.

– Prawdopodobnie, moja droga – rzekł lord Henryk, zamykając za nią drzwi.

Wyglądała, jak rajski ptak, który całą noc spędził na deszczu. Wymknęła się z pokoju, pozostawiając po sobie wąty, migdałowy zapach. Lord Henryk zapalił papierosa i rzucił się na kanapę.

– Nie żęń się nigdy, Dorianie, z kobietą o włosach koloru słomy – powiedział, zaciągawszy się parę razy.

– Dlaczego, Henryku?

– Bo są zbyt uczuciowe.

– Ależ ja lubię ludzi uczuciowych.

– Nigdy się nie żeń, Dorianie. Mężczyzna żeni się ze znużenia, kobieta przez ciekawość: oboje doznają rozczarowania.

– Nie zdaje mi się, Henryku, abym miał się ożenić. Jestem zanadto zakochany. To twój aforyzm. Stosuję go w praktyce, jak wszystko, co mówisz.

– W kim jesteś zakochany? – po chwili zapytał lord Henryk.

– W jednej aktorce – odrzekł Dorian Gray, rumieniąc się.

Lord Henryk wzruszył ramionami.

– To twój debiut jest nieco pospolity.

– Nie mówiłbyś tak, Henryku, gdybyś ją zobaczył.

– Cóż to za jedna?

– Nazywa się Sybilla Vane.

– Nic o niej nie słyszałem.

– Nikt jeszcze o niej nie słyszał. Niebawem będą mówili wszyscy. Ona jest genialna.

– Mój drogi chłopcze, żadna kobieta nie jest genialna. Kobiety są dla ozdoby. Nie mają nigdy nic do powiedzenia, ale to nic mówią czarująco. Kobieta oznacza triumf ciała nad umysłem, jak mężczyzna triumf umysłu nad obyczajami.

– Henryku, jak możesz?

– Mój drogi Dorianie, to jest szczerza prawda. Zajmuję się właśnie analizą kobiety, więc rozumiem się na tym. Przedmiot jest mniej zawiły, niż to sądziłem. Dochodzę do wniosku,

że ostatecznie istnieją tylko dwa rodzaje kobiet: naturalne i malowane. Kobiety naturalne są bardzo pożyteczne. Jeśli chcesz zdobyć miano człowieka porządnego, weź jedną z nich pod ramię i poprowadź do stołu. Te drugie są bardzo czarowne. Popełniają jednak jeden błąd. Malują się, by wyglądać młodo. Nasze babki malowały się, by wyglądać i mówić wspanialej. Róż i dowcip szły wówczas w parze. To minęło. Kobieta jest zupełnie zadowolona, dopóki może wyglądać o dziesięć lat młodziej od swej córki. Co się tyczy rozmowy, to Londyn ma pięć kobiet, z którymi warto mówić, dwie z nich nie należą do dobrego towarzystwa. Ale do rzeczy, opowiedz mi o swym geniuszu. Jak dawno ją znasz?

– Ach, Henryku, twoje poglądy mnie przerażają.

– Nie zważaj na nie. Jak dawno ją znasz?

– Około trzech tygodni.

– A gdzie ją poznałeś?

– Opowiem ci, Henryku, ale nie drwij. Ostatecznie, nie przysłoby do tego, gdybym cię nie był poznał. Ty rozbudziłeś we mnie dziką żądzę poznania życia. Od czasu mojego spotkania z tobą, inna krew krąży w mych żyłach. Włóczę się po parku lub po Piccadilly³⁹, przyglądałem się każdemu przechodniowi, chcąc przeniknąć, jakie życie prowadzi. Niektórzy czarowali mnie, inni budzili przerażenie. Jakby w powietrzu unosiła się trucizna. Namietnie szukałem wrażeń... Wreszcie pewnego wieczoru koło siódmej postanowiłem wyjść na spotkanie

³⁹ *Piccadilly* – jedna z głównych ulic w Londynie, biegnąca od Hyde Park Corner na zachodzie do placu Piccadilly Circus na wschodzie. [przypis edytorski]

przygody. Czułem, że ten szary, olbrzymi Londyn, z miriadami⁴⁰ ludności, równie brudnych grzeszników, jak wspaniałe są ich grzechy, jak to raz sam określiłeś, musi i dla mnie mieć coś w zapasie. Wyobrażałem sobie tysiące rzeczy. Najniebezpieczniejsze napawały mnie uczuciem zachwytu. Przypominałem sobie, coś mówił mi w ten cudny wieczór naszego pierwszego obiadu, że prawdziwa tajemnica życia polega na poszukiwaniu piękna. Sam nie wiem, czego oczekiwałem, dość że wyszedłszy z domu, skierowałem się do zachodniej dzielnicy, wikłając niebawem mą drogę w labiryncie brudnych i ciemnych ulic i pustych placów. Koło wpół do ósmej znalazłem się przed jakimś śmiesznie małym teatrzykiem, z jaskrawym oświetleniem gazowym i krzykliwymi afiszami. Obskurny Żyd w najdziwaczniejszej kamizelce, jaką kiedykolwiek widziałem, stał u wejścia, paląc cygaro. Miał masę pierścionków, a w samym środku wypłamionego gorsu koszuli błyszczał olbrzymi brylant. „Życzy pan sobie łoży, milordzie?” zapytał, ujrzawszy mnie i uniósł kapelusza z wyniosłą służbistością. Było w nim coś, Henryku, co mnie bawiło. Był taki potworny. Wiem, że będziesz śmiał się ze mnie, ale wszedłem i zapłaciłem za łożę całą gwineę⁴¹. Do dziś nie umiem sobie wytłumaczyć, jak to

⁴⁰ *miriada* (z gr. *myrias*) – grecki liczebnik oznaczający dziesięć tysięcy, używany zwykle w liczbie mnogiej na określenie ogromnej, trudnej do policzenia liczby czegoś. [przypis edytorski]

⁴¹ *gwinea* – dawna angielska moneta ze złota, później zwyczajowa nazwa jednostki obrachunkowej równej 21 szylingom (funt i jeden szyling), używana głównie do określania cen towarów luksusowych, honorariów itp. [przypis edytorski]

się stało; gdybym był nie wszedł jednak, mój drogi Henryku, gdybym był nie wszedł, ominąłby mnie największy romans mego życia. Widzę, że śmiesz się. Jesteś szkaradny!

– Nie śmieję się, Dorianie; przynajmniej nie z ciebie. Ale nie powinienesz nazywać go największym romansem swego życia. Nazwij go pierwszym twoim romansem. Będiesz zawsze kochany i zawsze zakochany. Wielkie namiętności są przywilejem ludzi niemających nic do roboty. Jedyne to pożytek dla kraju z klas próżnujących. Nie przerażaj się. Czekają cię wyjątkowe rozkosze. To dopiero początek.

– Uważałybyś, że moja natura jest taka płytka? – zawołał Dorian Gray z goryczą.

– Nie, masz naturę głęboką.

– Jak to rozumiesz?

– Mój drogi chłopcze, ludzie, którzy tylko raz w życiu kochają, są naprawdę płytki. To, co nazywają uczuciowością i wiernością, jest tylko drzemką z nawyku lub brakiem wyobraźni. Wierność jest dla życia uczuciowego tym, czym dla umysłu stałość – zwykłym wyznaniem niemocy. Wierność! Zastanowię się kiedyś nad tym. Zawiera ona przede wszystkim namiętność posiadania. Zawiera w sobie wiele rzeczy, które odrzucilibyśmy chętnie, o ile mielibyśmy pewność, że nikt ich nie podniesie. Ale przerwałem ci. Opowiadaj dalej.

– Otóż siedziałem sam w obrzydliwie ciasnej łóż, mając wprost przed sobą ordynarną kurtynę. Uchyliwszy nieco portiery, rozejrzałem się po sali. Było to coś niesłychanie

jaskrawego, przepełnionego mnóstwem kupidynów i rogów obfitości, niczym trzeciorzędny kołacz weselny. Galeria i parter wypełnione były szczelnie, ale dwa rzędy brudnych łóż świeciły pustkami, z rzadka widniała jakaś osoba na tak zwanych pierwszorzędnych miejscach. Kobiety roznosiły pomarańcze i piwo z imbirem, a wszędzie jedzono orzechy.

– Musiało tam być jak za świetnych dni dramatu angielskiego.

– Zupełnie, tak sobie to wyobrażałem, i to było bardzo przygnębiające. Zacząłem się nawet zastanawiać, co robić dalej, gdy właśnie wpadł mi w oczy afisz. Zgadnij, Henryku, co grano?

– Zapewne *Głupiego chłopca*, czyli *Niewinnego niemowę*. Nasi ojcowie musieli lubić podobne sztuczki. Im dłużej żyję, Dorianie, tym wyraźniej czuję, że co wystarczało naszym ojcom, nam już nie wystarcza. W sztuce, tak jak w polityce, dziadkowie nigdy nie mają racji.

– Nie, Henryku, tym razem sztuka i dla nas była dobra. Grano *Romea i Julię*. Przyznaję, że byłem nieco przerażony widokiem zobaczenia Szekspira w tej nędznej budzie. Po części wszakże byłem też zaciekawiony. W każdym razie na pierwszy akt postanowiłem pozostać. Ohydłą orkiestrą dyrygował jakiś młody Hebrajczyk przy rozstrojonym fortepianie. To mnie omal nie wypłoszyło, ale ostatecznie podniesiono kurtynę i przedstawienie rozpoczęło się. Romea grał jakiś starszy jegomość z uczernionymi brwiami, z ochrypłym głosem tragika i z postawą kształtu beczki piwa. Merkucjo był nie lepszy, szarżujący błazen, który wplatał własne dowcipy i był na

poufałej stopie z galerią. Obaj byli równie śmieszni, jak scena, która wyglądała, jakby przeniesiono ją z jakiejś zapadłej szopy. Ale Julia! Wyobraź sobie, Henryku, dziewczynę lat zaledwie siedemnastu, o twarzyczce podobnej do kwiatu, o małej greckiej głowie, ujętej w koronę ciemnobrązowych warkoczy, o oczach fioletowych od uczucia, o ustach jak płatki różane. To najczarowniejsza istota, jaką kiedykolwiek widziałem. Mówiłaś raz, że nie podziela na ciebie patos, ale piękność, sama piękność może wycisnąć ci łzy z oczu. Mówię ci, Henryku, zaledwie ujrzałem tę dziewczynę, łzy przesłoniły mi oczy. A jej głos – podobnego nie słyszałem w życiu. Z początku był bardzo cichy, o miękkich, głębokich tonach, oddzielnie wpadających w ucho. Później stał się silniejszy i brzmiał jak flet lub dalekie tony oboju. W scenie ogrodowej drżało coś ze wzruszenia, jakie odczuwamy, słuchając śpiewu słowików przed świtem. Później były chwile, że oddawał dziką namiętność skrzypiec. Wiesz przecież, jak działa na mnie głos. Głosu twego i głosu Sybilli Vane nie zapomnę nigdy. Gdy zamknę oczy, słyszę obydwa i każdy jest odmienny. Nie wiem, za którym mam pójść. Czemuż nie miałbym jej kochać? Henryku, kocham ją. Jest dla mnie wszystkim. Co wieczór idę patrzeć na jej grę. Jednego wieczoru jest Rozalindą⁴², następnego Imogena⁴³. Widziałem

⁴² *Rozalinda* – bohaterka idyllicznej komedii *Jak wam się podoba* Szekspira, córka wygnanego księcia, mieszkająca w Lesie Ardeńskim w przebraniu pasterza. [przypis edytorski]

⁴³ *Imogena* – postać kobieca ze sztuki *Cymbelin* Szekspira, córka tytułowego króla Brytanii. [przypis edytorski]

ją umierającą w ponurym mroku włoskiej kaplicy, gdy wypła truciznę z ust kochanka. Śledziłem ją, gdy przebiegała Las Ardeński, przebrana za ślicznego chłopca, w hajdawerki, kurtkę i czapeczkę. Jako obłąkana przyszła do występного króla, niosąc mu rutę i gorzkie zioła. Była niewinna, a czarne ręce zawiści złamały ją niczym źdźbło trawy. Widziałem ją w każdej sztuce i w każdym kostiumie. Kobiety pospolite nie działają na naszą wyobraźnię. Są ograniczone swoim stuleciem. Żadne mamidło ich nie przeobrazi. Dusze ich poznajemy równie łatwo, jak ich kapelusze. Można je widywać zawsze. Nie otacza ich żadna tajemnica. Rano wyjeżdżają do parku, a po południu paplają przy herbacie. Zawsze mają swój stały uśmiech i modną postawę. Widzimy je na wskroś. Inaczej aktorka! Jakże inna jest od nich! Henryku! Czemu mi nie powiedziałaś, że jedyną istotą godną miłości jest aktorka?

– Ponieważ kochałem ich wiele, Dorianie.

– Och, tak, okropne istoty z farbowanymi włosami i umalowaną twarzą.

– Nie gardź farbowanymi włosami i malowaną twarzą. Mają niekiedy dziwny urok – rzekł lord Henryk.

– Żałuję teraz, że opowiedziałem ci o Sybilli Vane.

– Musiałeś mi opowiedzieć, Dorianie. Przez całe życie będziesz mi opowiadał wszystko, co zrobisz.

– Tak, Henryku, i mnie się wydaje, że tak będzie. Nie zdołam niczego przed tobą ukryć. Masz nade mną dziwną władzę. Gdybym nawet popełnił zbrodnię, tobie ją wyznam. Ty mnie

zrozumiesz.

– Ludzie jak ty, słoneczne promienie życia, nie popełniają zbrodni, Dorianie. Jestem ci jednak wdzięczny za zaufanie. A teraz powiedz mi – bądź tak dobry i podaj mi zapałki – dziękuję ci – powiedz mi, jak daleko zaszedłeś z Sybillą Vane?

Dorian Gray zerwał się na równe nogi z twarzą w płomieniach i ogniem w oczach.

– Henryku! Sybilla jest święta!

– Tylko rzeczy świętych warto dotykać, Dorianie – rzekł lord Henryk z dziwnym odcieniem patosu w głosie. – Dlaczego jednak się gniewasz? Spodziewam się, że pewnego dnia będzie twoja. Gdy kochamy, zaczynamy najpierw łudzić siebie, aby skończyć łudzeniem drugich. Właśnie to nazywa świat romansem. W każdym razie, przypuszczam, że ją znasz?

– Znam ją, oczywiście. Już za moją pierwszą bytnością w teatrze, po przedstawieniu przyszedł do mej łoży ów obrzydliwy Żyd z propozycją, że zaprowadzi mnie za kulisy i przedstawi jej. Byłem na niego wściekły i powiedziałem mu, że Julia zmarła przed wiekami i że jej prochy spoczywają w marmurowym grobowcu w Weronie. Sądząc z jego rozbawionego spojrzenia, podejrzewałem mnie, że piłem za dużo szampana lub coś podobnego.

– To mnie nie dziwi.

– Spytał mnie potem, czy pisuję do jakiej gazety. Odpowiedziałem mu, że nie czytam żadnej. Wydawał się bardzo tym rozczarowany i zwierzył mi się, że wszyscy krytycy teatralni

uwzięli się na niego i że każdego z nich można przekupić.

– Nie byłbym zdziwiony, gdyby miał słuszość. Skądinąd jednak, sądząc z ich wyglądu, wielu z nich nie musi się drożyć.

– Tak, ale on wyobrażał sobie, że to przerasta jego środki – roześmiał się Dorian. – Tymczasem pogaszono lampy w teatrze i musiałem pójść. Nalegał jeszcze, abym spróbował cygara, które mi bardzo zachwalał, ale odmówiłem. Następnego wieczora znowu oczywiście poszedłem. Gdy mnie zobaczył, skłonił się nisko, nazywając wspaniałomyślnym mecenasem sztuki. Było to nachalne bydlę, ale miał nadzwyczajne upodobanie do Szekspira. Opowiadał mi raz z dumną miną, że swoje potrójne bankructwo zawdzięczał „bardowi”, jak upierał się go nazywać. Zdaje się, że uważał to sobie za zasługę.

– To była zasługa, mój drogi Dorianie, duża zasługa. Większość ludzi bankrutuje z powodu nadmiernego zapłatania się w prozie życiowej. Być zrujnowanym wyłącznie przez poezję to zaszczyt. Kiedyż jednak rozmawiałeś po raz pierwszy z panną Sybillą Vane?

– Trzeciego wieczora. Grała Rozalindę. Nie potrafiłem powstrzymać się od pójścia za kulisy. Rzuciłem jej parę kwiatów, za co spojrzała na mnie; tak mi się przynajmniej zdawało. Stary Żyd nalegał, że pokaże mi cały budynek, więc zgodziłem się pójść z nim. Nie jestże to dziwne, iż nie chciałem jej poznać?

– Wcale nie.

– Dlaczego, mój drogi Henryku?

– Odpowiem ci kiedy indziej. Teraz mów mi dalej o dziewczynie.

– O Sybilli? Ach, była taka nieśmiała i taka wdzięczna. Ma w sobie coś z dziecka. Kiedy mówiłem do niej, co sędzę o jej grze, oczy jej rozszerzyły się czarującym zdumieniem i wydawała się nieświadoma swej mocy. Zdaje się, że oboje byliśmy nieco podnieceni. Stary Żyd wykrzywił się obrzydliwie w korytarzu zakurzonej garderoby, rozprawiając coś o nas dwojgu, gdy my patrzyliśmy na siebie jak dwoje dzieci. Uparł się nazywać mnie „milordem”, musiałem tłumaczyć Sybilli, że nim nie jestem. Odpowiedziała mi całkiem po prostu: „Wygląda pan raczej na księcia. Będę nazywała pana księciem z bajki”.

– Dalibóg, Dorianie, panna Sybilla umie prawić pochlebstwa.

– Ty jej nie rozumiesz, Henryku. Uważała mnie po prostu za jakąś postać z dramatu. Wcale nie zna życia. Mieszka u matki, zwiędłej, znużonej kobiety, która pierwszego wieczora grała panią Kapulet w czymś żółtym w rodzaju peniuaru, a wygląda, jakby pamiętała lepsze czasy.

– Znam taki wygląd. To mnie przygnębia – mruknął lord Henryk, przyglądając się swym pierścieniom.

– Żyd chciał mi opowiedzieć jej historię, ale powiedziałem, że to mnie nie obchodzi.

– Miałeś słusność. Cudze tragedie mają w sobie zawsze jakąś niezmierną pospolitość.

– Mnie zajmuje wyłącznie Sybilla. Co mi po tym, skąd ona jest? Od małej głowy aż do małej stopy jest bezwzględnie i

całkowicie boska. Co wieczora chodzę patrzeć na jej grę i co wieczora jest coraz bardziej czarująca.

– Więc dlatego nigdy teraz nie jadasz ze mną obiadu. Posądzałem cię, że jesteś w toku jakiegoś ciekawego romansu. Nie myliłem się, ale to jest co innego, niż przypuszczałem.

– Mój drogi Henryku, przecież niemal codziennie jemy razem śniadanie lub kolację i kilka razy byłem z tobą w operze – rzekł Dorian Gray, ze zdumienia rozszerzając swe błękitne źrenice.

– Przychodzisz zawsze strasznie późno.

– Bo istotnie – wykrzyknął – nie mogę odmówić sobie, aby nie pójść popatrzeć na grę Sybilli, chociażby przez jeden akt. Łaknę jej obecności, a gdy myślę o tej cudownej duszy, ukrytej w tym drobnym ciele z kości słoniowej, przejmuje mnie zbożny lęk.

– Dorianie, chyba dziś będziesz mógł towarzyszyć mi przy obiedzie?

Potrząsnął głową przecząco.

– Dziś wieczór jest Imogeną – odparł – a jutro wieczór będzie Julią.

– Kiedy jest Sybillą Vane?

– Nigdy.

– Winszuję ci.

– Jakiś ty wstrętny! Ona jest naraz wszystkimi wielkimi bohaterkami świata. Ona jest więcej niż osobą. Ty się śmiej, a ja cię zapewniam, że ona jest geniuszem. Kocham ją i ona musi mnie pokochać. Ty, który znasz wszystkie tajemnice życia, powiedz mi, jak oczarować Sybillę Vane, aby mnie

pokochała? Chcę, aby Romeo był o mnie zazdrosny. Chcę, aby zmarli kochankowie całego świata posmutnieli, słysząc nasz śmiech. Chcę, aby tchnienie naszego uczucia ożywiło ich prochy świadomością, popioły ich przejęło troską. Mój Boże, jak ja ją ubóstwiam, Henryku!

Mówiąc, chodził po pokoju tam i z powrotem. Jego policzki pokryły się gorączkowym rumieńcem. Był strasznie podniecony.

Lord Henryk patrzył na niego z łagodnym uczuciem zadowolenia. Jakże inny był teraz od trwożliwego, nieśmiałego chłopca z pracowni Bazylego Hallwarda! Jego istota rozwinęła się w kwiat, rozkwitła szkarłatnym płomieniem. Z utajonej kryjówki wyjrzała jego dusza, spotykając na swej drodze pragnienie.

– A co ty zamierzasz? – rzekł wreszcie lord Henryk.

– Chciałbym, abyście ty i Bazyli poszli ze mną któregoś wieczora zobaczyć jej grę. Nie mam żadnych obaw o wynik waszej oceny. Na pewno uznacie jej geniusz. Musimy wyzwolić ją z rąk tego Żyda. Jest z nim związana na trzy lata – właściwie, od teraz, na dwa lata i osiem miesięcy. Muszę mu, oczywiście, zapłacić odszkodowanie. Gdy to wszystko załatwię, wynajmę jeden z teatrów w West End⁴⁴ i dam jej możliwość godnego jej wystąpienia. Oczaruje cały świat, jak oczarowała mnie.

– To niemożliwe, mój drogi chłopcze.

⁴⁴ *West End* – obszar centralnego Londynu na zachód od City of London, stanowiący rozrywkowe i handlowe centrum miasta, z wieloma teatrami, lokalami rozrywkowymi, sklepami i przedsiębiorstwami. [przypis edytorski]

– A jednak tak będzie. Ona nie tylko jest artystką, nie tylko posiada zmysł artystyczny, ale jest również indywidualnością, a ty mi przecież mówiłeś, że indywidualności, nie zasady, rządzą światem.

– Kiedy zatem pójdziemy?

– Zaczekaj. Dziś jest wtorek. Powiedzmy, jutro. Jutro gra Julię.

– Dobrze. Czekam w Bristolu o ósmej i przyprowadzę Bazylego.

– Nie o ósmej, proszę cię, Henryku. O wpół do siódmej. Musimy być przed podniesieniem kurtyny. Musicie zobaczyć ją w pierwszym akcie, kiedy spotyka Romea.

– O wpół do siódmej! Co za godzina! To jakby proszona herbata w dzień albo czytanie angielskiej powieści. Już najwcześniej o siódmej. Nikt z towarzystwa nie jada przed siódmą. Czy zobaczysz się przedtem z Bazylim? Czy ja mam napisać do niego?

– Kochany Bazyli! Nie widziałem go od tygodnia. Brzydko to właściwie z mej strony, zwłaszcza, że przysłał mi mój portret w cudnej ramie, którą umyślnie zamawiał według własnego rysunku, a choć zazdroszczę nieco obrazowi, gdyż jest o cały miesiąc ode mnie młodszy, ale muszę przyznać, że cieszę się nim bardzo. Może lepiej napisz do niego. Nie chciałbym być z nim sam na sam. Mówi mi rzeczy, które mnie gniewają. Udziela mi dobrych rad.

Lord Henryk uśmiechnął się.

– Ludzie lubią o dawać to, czego najwięcej potrzebują sami. Nazywam to przepaścią dobrodziejstwa.

– O, Bazyli jest najlepszym człowiekiem pod słońcem, ale wydaje mi się nieco filistrem⁴⁵. Zauważyłem to wówczas dopiero, gdy poznałem ciebie, Henryku.

– Bazyli, mój drogi chłopcze, cały czas, jaki posiada, wciela w sztukę. Dlatego na potrzeby własnego życia pozostały mu tylko przesady, zasady i zdrowy rozsądek. Ze znanych mi artystów ci, którzy czarują sobą, są marnymi artystami. Dobrzy artyści istnieją tylko w tym, co tworzą, jako ludzie są zgoła nieciekawi. Wielki poeta, naprawdę wielki poeta jest najbardziej niepoetycznym stworzeniem. Ale poeci podrzędni są czarujący. Im gorsze ich rymy, tym bardziej malowniczo wyglądają sami. Już samo to, że ktoś ogłosił tom lichych sonetów, czyni go niezwyciężonym. On żyje poezją, której nie umiałby napisać. Inni piszą poezję, której nie umieliby urzeczywistnić.

– Czyż tak jest naprawdę, Henryku? – rzekł Dorian Gray, skrapiając swą chusteczkę perfumami z postawionego na stole dużego złotego flakonu. – Tak być musi, jak mówisz. A teraz odchodzę. Imogena czeka na mnie. Nie zapomnij o jutrze. Do widzenia.

Gdy wyszedł z pokoju, lord Henryk, przymknąwszy swe ciężkie powieki, począł rozmyślać. Mało ludzi zajmowało go do tego stopnia, co Dorian Gray, a teraz szalona miłość młodzieńca dla kogoś innego sprawiała mu niemały ból przykrości lub

⁴⁵ *filister* (pogardl.) – mieszczuch o ograniczonych horyzontach. [przypis edytorski]

zazdrości. Podobało mu się to jednak. Zagadnienie stawalo się bardziej zajmujące. Górowało w nim zawsze upodobanie do metod nauk przyrodniczych, choć zwykły przedmiot ich badań wydawał mu się pospolity i bez znaczenia. Zaczął więc analizować samego siebie, aby skończyć na analizowaniu bliźnich. Życie ludzkie było dla niego jedynym przedmiotem godnym badania. W porównaniu z nim nic nie miało wartości. Oczywiście, ktokolwiek przyglądał się życiu w jego ciekawym tyglu trudu i radości, ten nie może zasłaniać twarzy szklaną maską, która by ochroniła jego mózg od wyziewów siarczanych, mącących go i zatruwających wyobraźnię potwornymi widziadłami i szpetnymi rojeniami. Istnieją trucizny tak łagodne, że trzeba zachorować przez nie, aby doświadczyć ich działania. Istnieją choroby tak niezwykle, że trzeba je przeżyć, by zrozumieć ich istotę. A jakaż wielka za to nagroda! Jak cudowny staje się wówczas cały świat! Zgłębiać dziwnie nieugiętą logikę namiętności i burzliwie barwne życie umysłu, podpatrywać, gdzie łączą się, a gdzie rozdzielają, gdzie zlewają się w harmonię, a gdzie brzmią dysonansem – na tym polega rozkosz! Cóż znaczy cena? Za silne wrażenie jeszcze nikt nie zapłacił za drogo.

Był przeświadczony – a świadomość ta błyskiem triumfu zaświeciła w jego agatowych, ciemnych oczach – że to dzięki potędze jego słów, słów melodyjnych i wypowiedzianych głosem melodyjnym, dusza Doriana Graya zwróciła się ku tej białej dziewczynie, aby ugiąć się przed nią w zbożnym podziwieniu.

Młodzieniec był w dużej mierze jego dziełem. Rozwinął go przedwcześnie. I to coś znaczy. Zwykli ludzie czekają, aż życie odsłoni im swe tajemnice, a tylko nieliczni, tylko wybrani oglądają je przed uchyleniem zasłony. Niekiedy bywa to wynikiem sztuki, zwłaszcza sztuki słowa, która czerpie bezpośrednio z uczuć i z umysłu. Ale od czasu do czasu jakaś złożona indywidualność bierze na siebie rolę sztuki, sama stając się sztuką, bo i życie ma swe arcydzieła, podobnie jak poezja, rzeźba i malarstwo.

Tak, młodzieniec dojrzał przedwcześnie. Zbierał swoje żniwo w porze wiosennej. Namiętnie tętniła w nim młodość, ale już zdobywał świadomość samego siebie. Rozkoszą było przyglądać mu się. Wraz ze swą piękną głową i piękną duszą był rzeczą godną podziwu. Nie pora zastanawiać się, jak się to skończy lub co mu jest w końcu przeznaczone. Był niby któraś z wdzięcznych postaci jakiejś płaskorzeźby lub dramatu, których radości są tak nam dalekie, cierpienia budzą w nas zmysł piękna, a rany są jak róże czerwone.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.